AS

Nr. 10
5 MARCA 1939 R.
CENA 40 GROSZY



„BLANC-ET-NOIR"
artystka filmowa Lidia Baarowa
Fot. Polski Tobis.

Wynalazek profesora Rokity

★

LEONARD ŻYCKI-MAŁACHOWSKI

NOWELA

Szanowny Panie Kolego!

Jestem panu bardzo obowiązany za zainteresowanie, jakie pan od początku okazuje moim pracom. Pańskie doświadczenia nad falami mózgowemi bardzo mi przy tych pracach się przydały. Zwłaszcza świetny był pomysł zastosowania komórki fotoelektrycznej dla sfotografowania ich na filmie. Dzięki Pańskim fotografjom, wykonanym w czasie 1/10 sekundy, mogłem zbadać naturę fal *alfa* i *beta*, które to fale emituje mózg w czasie wypoczynku i w czasie pracy. Zupełnie słusznie Pan przypuszcza, że fale *alfa* są falami wypoczynku a fale *beta* — falami pracy. Lecz Pańskie hipotezy, że będzie można poznawać myśli ludzkie, stosując w charakterze odbiornika bezpośrednio mózg, są błędne. Stwierdzam to ze szczerą przykrością. Mózg ludzki bowiem nie wydziela tych fal poto, by je przekazywać innemu mózgowi. To nie jest jego celem. Fale mózgowe są poprostu ubocznym produktem pracy mózgu tak, jak ubocznym produktem pracy gazowni będzie koks, oleje i barwniki. Więc wszelkie założenie o przekazywaniu fal mózgowych, nawet wzmocnionych odpowiedniemi aparatami, bezpośrednio innemu mózgowi są z gruntu błędne, gdyż mózg nie ma odpowiedniej stacji odbiorczej, by mógł je chwytać i conajwyżej będzie odbierał jak najelementarniejsze wrażenia. Stąd jednak do prawdziwego odczytywania myśli w sposób dający się skontrolować jest bardzo daleko. Lecz tak, jak z ilości produktów ubocznych w gazowni dobry fachowiec może bez trudu określić ilość wytworzonego gazu (proszę mi wybaczyć to cokolwiek naiwne porównanie, ale lepszego trudno mi w tej chwili wymyślić), tak z charakteru fal *beta* można mieć pojęcie o pracy mózgu. Co więcej, przy pomocy fal *beta*, będących funkcją mózgu, można bardzo łatwo dojść do odczytania myśli. Tak, panie kolego! Nie przeczytał pan mylnie. Niech pan nie przypuszcza, że pisząc te słowa, jestem w sprzeczności ze słowami napisanemi o parę wierszy wyżej, gdyż sprzeczność może zajść tutaj jedynie pozorna. Niech pan raczy bowiem przyjąć do wiadomości, że aparat do odczytywania myśli jest już skonstruowany i dziś nastąpi jego próba generalna. Na właściwą drogę naprowadziło mnie dokonane przez pana przeobrażenie fal mózgowych w fale elektryczne, a zkolei w zjawiska świetlne. Pomyślałem więc sobie: jeżeli można zamienić fale *beta* na pasek zaczernionego krzywą wykresu filmu, to dlaczego nie możnaby zamienić tego filmu na dźwięk. Przecież w filmie dźwiękowym mamy do czynienia z podobnym procesem. Głos jest zamieniany na fale elektryczne, a po odwróceniu tego procesu słyszymy znów w głośniku tenże sam głos. Jedna tylko spiętrzyła się na mej drodze trudność, zdawałoby się nie do przezwyciężenia. O ile w wypadku filmu dźwiękowego głos zamienia się w fale elektryczne, to jednak w rezultacie ostatecznego procesu powraca do poprzedniej formy — dźwięku. Tutaj trzeba było z fali mózgowej stworzyć dźwięk i to taki dźwięk, który dawałby w słowach sens tej myśli, jaką wyobraża krzywa graficzna *beta*. Pierwszymi objektami mego doświadczenia będzie mój przyjaciel i współpracownik, dr Maurycy i moja żona. Oni oboje nie domyślają się, że już tak daleko posunąłem swą pracę.

Profesor Rokita przerwał list i z dumą spojrzał na stojący przed nim na biurku aparat. Toż to będzie niesłychana sensacja na całym świecie, gdy się wieść o jego wynalazku rozniesie! Ileż on wprowadzi do życia ludzkiego elementu prawdy i szczerości!

Zginie powszechne zakłamanie, gdyż możliwość czytania w myślach ludzkich uniemożliwi wszelkie kłamstwo. Jakież tu otwierają się przed tym wynalazkiem nieograniczone możliwości.

Choćby naprzykład w sądach! Czyż będzie potrzeba długo badać oskarżonych, by z nich wydobyć prawdę?

Albo w dyplomacji... Czyż będzie tu możliwe to wzajemne okłamywanie się, jakie dziś wszyscy stosują? Nie! Będzie to gra w otwarte karty.

Albo w małżeństwie...

Profesor Rokita westchnął i wyciągnął z kieszeni zegarek. Dochodziła piąta. Za chwilę powinna nadejść Laura. Uczony podniósł się i pochylił nad skomplikowanym aparatem, który oko niewtajemniczonego mogłoby uznać za radjoodbiornik, tyle tu było pokrzyżowanych drutów, lampek i kondensatorów, lecz oko wybitnego radjotechnika wykryłoby urządzenia zupełnie mu obce i niezrozumiałe. To były transformatory fal *beta*.

Końcowe ogniwo aparatu stanowiło urządzenia do nagrywania na taśmę stalową tych drgnień, które w aparacie odbiorczym zamienią się w dźwięk i wypowiedzą wszystko, co myśleli ludzie, będący przedmiotem doświadczenia.

W przedpokoju rozległ się głos dzwonka: i profesor włączył jakieś sobie tylko znane kontakty.

Do pokoju wpadła zaróżowiona, rozradowana, piękna pani Laura, jego małżonka.

— Ach, jak się masz, najdroższy — wołała już od progu, przesyłając mu ręką pocałunek — tak się spieszyłam, żeby zdążyć. Myślałam, że mi się nie uda. Ta krawcowa zawsze ogromnie marudzi. Ale tak chciałeś, żebym była punktualna, więc się pospieszyłam. Chyba jestem punktualna? Mój pan i władca powinien być zadowolony.

Podeszła bliżej i, przycisnąwszy się do niego swem smukłem wysportowanem ciałem, podała mu do pocałowania gorące wargi.

Rokita znał upajający smak tego pocałunku. Ciągle jeszcze, mimo dziesięciu lat małżeństwa, upajał się jej ustami jak najprzedniejszem winem. Zawsze był pod jej przemożnym urokiem. Lecz Laura nie była już tą dawną studentką zakochaną w genjalnym profesorze całą potęgą młodocianego serca. Coś się między nimi popsuło i chwile, kiedy przychodziła sama z pieszczotą, stawały się coraz rzadsze.

— Wiesz, widziałam przechodząc obok cukierni, Maurycego. Stał tam i coś kupował. Napewno chce ci znowu prezent z jakiejś pięknej bombonierki.

— Mnie? Obłudnico! Wiemy dobrze, komu robi prezenty kolega Maurycy.

— Ale ty też zjadasz jego czekoladki! Może nie prawda?

— Muszę przyznać, że tak. — Jeszcze małżonkowie rozmawiali o Maurycym, gdy zjawił się w drzwiach pokoju, trzymając w ręku wykwintną bombonierkę.

— Wezwaliście mnie na piątą... Czyż już dziś nastąpi to epokowe doświadczenie? — rzekł, witając się i składając przyniesioną bombonierkę w ręce pani domu.

Profesor Rokita w odpowiedzi uśmiechnął się zagadkowo.

— Niestety, bardzo żałuję, ale dziś jeszcze nic z tego...

— Dlaczego?

— Jeszcze pewne drobiazgi nie funkcjonują. Muszę jeszcze przerobić transformatory. Bardzo przepraszam, że was fatygowałem napróżno, ale do jutra będę gotów.

Docent nie pytał więcej, okazując dyskrecję godną naukowca i przyjaciela.

Po herbacie spędzonej w wesołym nastroju pani Laura wyraziła chęć pójścia do kina, a docent ofiarował się ze swem towarzystwem. Dopiero, gdy ci dwoje wyszli, profesor gorączkowo rzucił się do aparatu. Włączywszy głośnik, usiadł na przeciw niego i począł słuchać.

Aparat zaczął mówić. Mówił jakimś nieznanym głosem i beznamiętnym, jak ktoś, który czyta rzeczy zupełnie go nie interesujące.

— Przychodzi Laura — mówił aparat — ona jest taka dziwna ostatniemi czasy. Trzeba skorzystać z okazji i zbadać jej myśli jeszcze teraz, gdy o niczem nie wie i nie kontroluje się.

Profesorowi zrobiło się, mimo wszelkich przewidywań, nieprzyjemnie. Wszak to jego własne myśli.

— Trzeba skłamać — mówił dalej aparat — że nie jestem jeszcze gotowy. Może dowiem się czegoś bardzo ciekawego. Wchodzi Laura. Jest piękna, jak zwykle. Jak ja ją kocham! Nie wyobrażam sobie życia bez niej.

Profesor drgnął. Beznamiętny głos aparatu mówił w dalszym ciągu:

— Jesteś obrzydliwy starcze! Żebyś wiedział, jak ta moja krawcowa wygląda, oczy by ci wyszły na wierzch ze zdumienia! Ach, jak on cudownie całuje... Jak ja jego kocham. Najdroższy Maurycy! Co jabym dała zato, by móc należeć wyłącznie tylko do niego jednego. By nie być zmuszoną do kłamstwa i udawania.

Profesorowi krew nabiegła do twarzy i zacisnął kurczowo pięści. Głos mówił dalej:

— Gdybyś ty wiedział, jak ja ciebie nienawidzę, jak ja jestem nieszczęśliwa, że muszę tu być przy tobie...,

Profesor patrzył zimnemi oczami na portret żony.

Tymczasem beznamiętny głos maszyny mówił, podając fragmenty wypowiedzianej przedtem rozmowy i dodając do niej swoje jakby komentarze.

W pewnej chwili Rokita podniósł głowę. Głos mówił dalej:

— Lubię go bardzo. W nim jest genjusz. Nie kocham Laury, ale to co czynię, jest dla dobra ich obojga. Gdybym nie ja, zatrułaby mu życie i nie pozwoliła na twórczą pracę. A tak, jest zadowolona i szczęśliwa, a przy niej i — on. Jak on mógł się ożenić z tak młodą osobą! Dobrze, że nic nie wie i niczego się nie domyśla. Gdyby się dowiedział, toby go ta wiadomość zdruzgotała. Przykro mi, że muszę udawać i kłamać, ale robię to dla jego dobra.

Profesor zerwał się. Chwycił ciężki przycisk z biurka i uderzył nim z całej siły w aparat. Rozległ się trzask gruchotanych tub i nienawistny głos ucichł. Profesor bił przyciskiem z taką zaciekłością, jakby nim druzgotał najzaciętszego wroga. Nie spoczął, aż z precyzyjnego aparatu pozostały jedynie szczątki.

A potem, odrzuciwszy przycisk ze wstrętem, jął chodzić po pokoju. Chodził długo, długo zaciskając pięści. Wreszcie zatrzymał się przed biurkiem. Wziął do ręki leżący na nim arkusik z niedokończonym listem i zwolna wyciągnął z kieszeni zapalniczkę. Przyłożył płomyk do arkusika i nie wypuścił go z ręki, aż cały się spalił, mimo że płomień osmalał mu palce.

A potem siadł i począł pisać:

Drogi przyjacielu!

Jestem panu bardzo wdzięczny za zainteresowanie, jakie pan od początku okazuje moim pracom. Pańskie doświadczenia nad istotą fal mózgowych są epokowe. Ale niech się pan nie łudzi, że się panu uda znaleźć sposób odczytywania myśli. Jest to niemożliwe. Stwórca dał człowiekowi tę jedyną dziedzinę, w której jest on całkowicie wolny. Ta dziedzina jest nietykalna i święta. Kto chce w nią wtargnąć, tego niechybnie spotka surowa kara. Tak, jak spotkała Adama i Ewę za zerwanie owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego. Wierzaj mi przyjacielu i nie dociekaj dalej...

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU NA LITWIE 50 CT.

CEN... OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 ... dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona ... m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe do... kolor. prócz zasadniczego. Żadnych ... oszenia nie przyjmujemy

Numer 10 | Niedziela, 5 marca 1939 | Rok V

W następnym numerze zaczną ukazywać się wspomnienia słynnego na cały świat psycho-grafologa Rafała Schermanna, p. t. „Rafał Schermann opowiada"...



Fot. „AS"

Wizyta dyplomatyczna ministra spraw zagranicznych Italji hr. Ciano di Cortellazzo złożona w stolicy, wzbudziła w sferach dyplomatycznych całego świata wielkie zainteresowanie, gdyż podkreśla ona ważność Polski jako czynnika w międzynarodowej polityce. Poza horyzontami czysto politycznymi, w przyjęciu miłego gościa grały dużą rolę odwieczne węzły kulturalne łączące Polskę z Italją i szczera nasza sympatja wobec ojczyzny Dantego. Na zdjęciu widzimy dostojnego gościa z małżonką (w środku) w towarzystwie p. ministra Józefa Becka i jego małżonki w miłej pogawędce towarzyskiej, nie pozbawionej, jak widzimy, wesołych momentów.

Nauka — powiedział sławny uczony Mach — to ekonomja myślenia. Trawestując to powiedzenie możnaby powiedzieć — „wynalazki to ekonomja czasu, pieniędzy i siły". Rzuca się w oczy prawdziwość tych słów bardziej w komunikacji jak w innych dziedzinach. Porównajmy tylko dawne „dobre czasy" i jak to się wtedy jechało: karocami naładowanemi wszelkiego rodzaju pierzynami, z pachołkami, z przygotowywaniem noclegów przez naprzód wysłanych umyślnych i t. d. Najprostsza podróż kosztowała wtedy majątek i wogóle była niepewną, gdy my teraz irytujemy się (zresztą słusznie), jeżeli pociąg, którego prawo używania kupiliśmy za parę złotych, spóźni się o parę minut, lub godzin!

Jak długo świat był mały, komunikacja nie była tak ważnym problemem, ale mimoto wszystkie państwa starożytnego świata, od Egiptu począwszy, miały zorganizowaną sieć posłańców. Do tego potrzebne były drogi — które budowano pieczołowicie. Mało znanem jest może, że Peru i Meksyk miały doskonałe drogi, ale najdokładniej znamy drogi Rzymu. Rzymskie Cesarstwo miało pod czas swego rozkwitu 75.000 km dobrych dróg (Polska ma ich 60.000 na znacznie mniejszej przestrzeni) łączących wyspy Brytyjskie z Południowym Egiptem i Słupy Herkulesa z Eufratem. Po drogach tych można było tak szybko się poruszać, że n. p. Cezar podróżował robiąc przeciętnie 11 km. na godz., czyli w ciągu dnia mógł przebyć około 150 km. Powiedzenie „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu" miało wówczas swoje uzasadnienie, bo szlaki dróg zaczynały się na Forum Romanum, gdzie August postawił złoty kamień — „Milliarium Aureum". Sławna „Via Appia" była częścią drogi Rzym — Afryka, via Sycylia.

Później podróże odbywały się przeważnie konno i pozostało tak aż do XV wieku. Nawiasem podam, że jeżdżenie konno „po damsku" wprowadziła w 1380 r. Anna z Luksemburga, żona Ryszarda II, króla Anglji.

Jakie wówczas panowały stosunki bezpieczeństwa, ilustruje najlepiej fakt, że w ówczesnej Anglji wycinano na przestrzeni kilkudziesięciu metrów, po obu stronach dróg, krzaki i drzewa, by nie dawać rozbójnikom okazji do robienia zasadzek. Powiedziałem „drogi". Lecz czy były to naprawdę „drogi?" Chyba nie, jeżeli jeszcze w 1780 r. pisarz Young pisze: „...tosamoby kosztowało, gdyby nasze drogi budowano z twardego materjału, lub zamieniono na kanały..." Dochodziło do tego, że trzeba było nieraz rozbierać wozy i przenosić na plecach spędzonych z okolicy wieśniaków. Oczywisty skutek tych strasznych w naszych pojęciach warunków komunikacyjnych, była kompletna niemal izolacja poszczególnych miejscowości i wybujały na tej podstawie lokalny patrjotyzm.

Ciekawe jak natura ludzka potrafi bronić się przed postępem — trudno uwierzyć, ale gdy zaczęto wprowadzać mniej więcej regularną komunikację kołową (konną) bardzo liczne głosy uważały to za nieszczęście i katastrofę dla kraju: podróżni nie będą kupować mieczy, pistoletów, mniej będą niszczyć ubrania, mniej wypijać piwa i wina po oberżach, wogóle ludzkość zniewieścieje, gdy zejdzie z konia do powozu!

Dalszym etapem było przewożenie ciężarów konnymi wozami, toczącemi się po szynach drewnianych, lub żelaznych. Robiono także — rzecz znana już w Egipcie i Grecji — rowki wyżłobione w kamieniach jako „szyny" dla kół. Rozstaw tych szyn wynosił wówczas 4 stopy i 8,5 cali ang., co równa się 1435 mm, który-to rozstęp dotąd zachował się w większości państw, jako tak zwany „normalnotorowy". — Jako przykład podam, że podróż z Halle do Frankfurtu nad Menem, trwała w okresie największego rozkwitu poczty tylko 35 godzin. — W okresie przejściowym, gdy już zaczęto wprowadzać

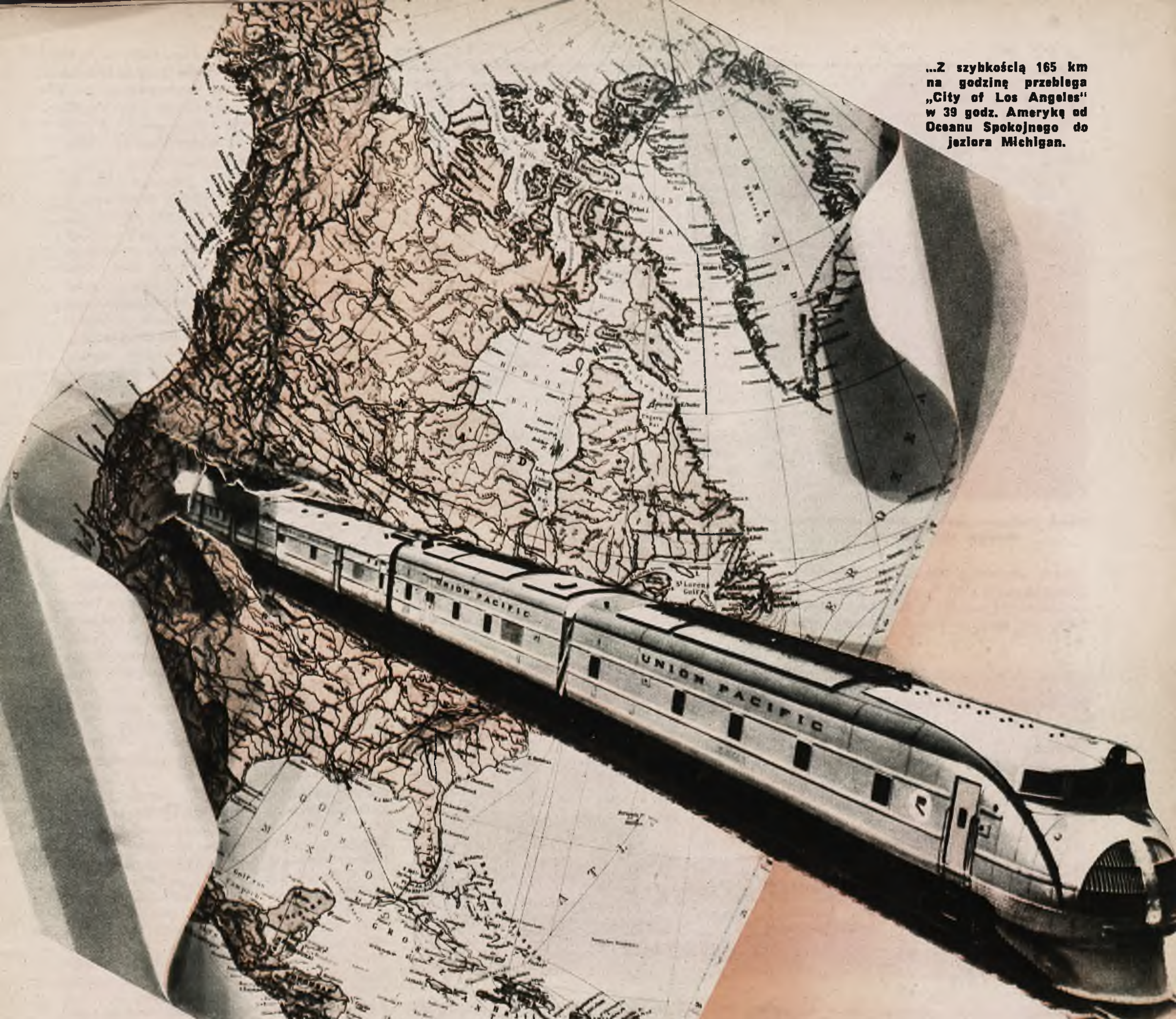
poniżej: „Mózg" pociągu z przyrządami do sterowania lokomotywą.



ŻELAZNA DROGA *olbrzymów*

„City of Los Angeles" przebiega przez dzikie prerje na których pasą się tabuny koni.





...Z szybkością 165 km na godzinę przebiega „City of Los Angeles" w 39 godz. Amerykę od Oceanu Spokojnego do jeziora Michigan.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA WIDE WORLD PHOTOS

koleje, nieraz podróż odbywała się przy pomocy obu tych środków komunikacyjnych i n. p. w 1845 r. jechało się z Berlina via Halle, Frankfurt do Paryża 88 godzin kosztem 155 marek. — W Anglji, nim Stephenson nauczył ludzkość poruszać się przy pomocy kolei, w 1700 r. jechano z Londynu do Yorku 8 dni, do Dover 3 dni. W Niemczech w tym okresie przeciętna szybkość karety pocztowej była około 5 mil dziennie. Cóż za spadek w porównaniu z Rzymem!

Właściwe narodziny komunikacji, to sławny pojedynek lokomotyw w Rainhill (Anglja) „the battle of locomotives" z dni 6—8 października 1829 r. Do walki stanęły pierwsze rumaki parowe: „Sanspareil" Hackwortha o prostopadle nad tylnemi kołami umieszczonych cylindrach; „Novelty" Braithwaite'a z pionowymi cylindrami i ulepszonym, dzięki pomysłowi Bootha, kotłem. Wszystkie mogły zasadniczo rozwijać szybkość około 20 km na godz. i ciągnąć ciężar kilkunastu tonn.

Próbna przestrzeń koło Rainhill miała długość około 2,4 km i miano ją przemierzyć 20 razy, odpowiednio do odległości Manchester — Liverpool = 48 km., bo miasta te miały być potem połączone koleją. Jedynie Rocket przebyła próbę bez zarzutu tak, że nagrodę wypłacono po połowie Stephensonowi i Boothowi, temu ostatniemu za kocioł jego pomysłu z rurami przeprowadzającemi płomień przez wodę. Stephenson prócz tego otrzymał zamówienie na 8 lokomotyw dla wspomnianej kolei. Skąd się wziął pomysł tego pojedynku pod Rainhil? Stephenson — znany już jako konstruktor — otrzymał posadę głównego inżyniera przy budowie kolei Manchester — Liverpool. Do budowy jej, tj. do przewożenia budulca, Stephenson dostarczył lokomotywę. Doświadczenia z nią zrobione były tak niezadawalające, że dyrektorzy postanowili rozstawić wzdłuż toru 21 maszyn parowych i wagony z pasażerami przeciągać linami. Projekt ten zresztą nie był nowy, bo był wówczas stosowany w kilku kopalniach węgla, a w 1820 r. Henschell w Cassel proponował dokonywać przesuwania wozów linami, uruchamianemi kompresorami powietrznymi. Stephenson jednak potrafił przekonać dyrektorów i namówił ich do ogłoszenia konkursu.

Zwyciężył Stephenson swoją „Rocket", która potrafiła rozwinąć niesłychaną szybkość... 45 km na godz. i z tą chwilą kończy się okres niemowlęcy lokomotyw.

A teraz parę słów o historji zastosowania pary. Jeżeli pominąć pierwsze zastosowania siły pary o jakich wiemy z czasów starożytnych (n. p. Hero z Aleksandrji) to pierwszym, który wykorzystał odkrycie Papina, był James Watt ur. w Greenock w 1736 r. — W 1769 r. wybudował pierwszą maszynę parową. Jego przyjaciel dr. Robinson zwrócił mu już 10 lat wcześniej uwagę na możliwość użycia pary do przewożenia wozów. Pierwszy patent na wóz parowy z kotłem drewnianym wyłożonym blachą otrzymał wprawdzie już w 1784 r., ale nie opracowywał dalej tego pomysłu. Ma on jednak inną wiekopomną zasługę na polu techniki: on pierwszy potrafił zamienić zapomocą korbowodu, posuwisty ruch tłoka na obrotowy koła. W międzyczasie Francuz Cugnot w



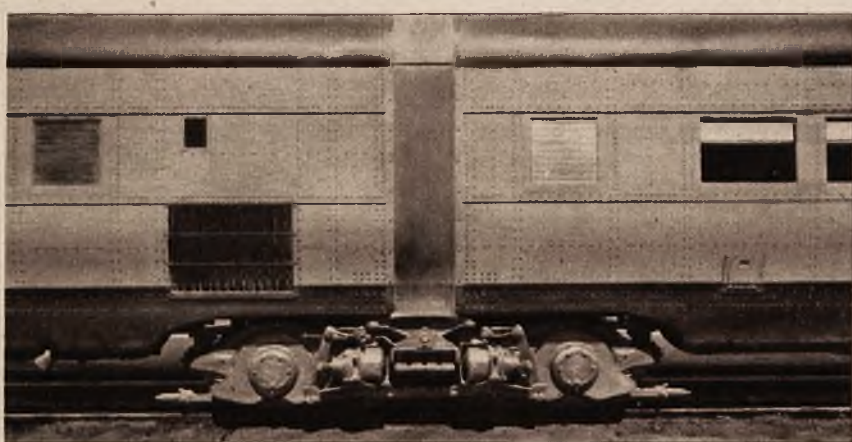
Drzwi i stopnie pociągu aerodynamicznego zamykają się automatycznie.

1769 r. zbudował wóz parowy, który jednak tylko 15 minut był w ruchu. Miał on z tyłu umieszczony kocioł i 3 duże drewniane koła. Szybkość rozwijana z 4 osobami była 3,5 km, obracanie koła odbywało się za pomocą zapadki i kółka zębatego. Dalsi to Murdock z wozem z 1784 r. o ruchu bez zapadki i Evans z 1801 r., który wprowadził wyższe ciśnienie do kotła i tem samem stworzył lżejszą maszynę. Ciekawe, że w 1786 r. odmówiono mu w Pensylwanji patentu na lokomotywę, jako na „chorobliwy wymysł!"

W Anglji Trevithik zbudował w 1802 r. lokomotywę z napędem kołami zębatemi i z kołem zamachowem dla ujednostajenienia ruchu. Zbudowana przez niego lokomotywa jeździła na linji Merthyr—Tidvil i potrafiła uciągnąć około 10 tonn. Oryginalnem było przy niej też to, że koła żelazne o gładkich obręczach poruszały się wprawdzie na gładkich szynach, ale na obrzeziach miały wystające główki gwoździ, które wbijały się w położone równolegle do szyn kawałki drzewa i tak zwiększały tarcie i umożliwiały poruszanie się. Trevithik przeczuwał, że gładkie szyny i koła wystarczą, ale nie znał prawa nakazującego pewne obciążenie kół dla umożliwienia poruszania się.

Wspomnę jeszcze o dwóch dziwolągach: lokomotywie Blenkiskopa z 1812 r. z kołem zębatem zaczepiającem o wystające z boku szyn kołki i lokomotywie Bruntona z 1813 r., która odpychała się od ziemi jakby szczudłami — nieudane naśladownictwo nóg! — Lokomotywa ta rozwijała „szybkość" 4 km na godz. i miała 5 KM siły.

Dopiero Stephenson pchnął konstrukcję parowozów na nowe tory i dlatego można go nazwać ojcem komunikacji parowej. — Urodził się on w Newcastle w 1791 r. a umarł w 1848 r. — Dodam, że i syn jego Robert był sławnym inżynierem i upamiętnił się budową wielu mostów.



Pociąg „City of Los Angeles" posiada napęd elektryczny. — Potrzebna energję dostarczają zespoły motorów Diesla — umieszczonych w dwóch pierwszych wagonach.
Fot. Presse-Photo — Berlin.

Od tego czasu komunikacja zaczęła iść niepowstrzymanem tempem naprzód. Nie bez sprzeciwów! W 1834 r. Bawarska Rada Lekarska twierdziła, że szybkość kolei musi u podróżnych wywołać chorobę — jak ją określono „Delirium Furiosum" i, by tego uniknąć, należałoby z obu stron toru ustawić parkany z desek, by podróżni nie widzieli migającego krajobrazu.

Dziwne były te pierwsze pociągi! Wzorem wagonów była kareta. Maszynista siedział na koźle lokomotywy bogato ozdobionej miedzią. Wagony bajecznie kolorowo malowane, połączone były łańcuchami tak, że przy hamowaniu wpadały jeden na drugi. Obsługa była w jaskrawo-czerwonych mundurach. Pakunki kładło się na dachu tak, że czasem zapalały się od iskier lokomotywy. Zresztą na pakunkach wolno było siedzieć pasażerom. A jednak mimo wszystko już w 1838 r. można było w Anglji spać w przedziałach I klasy. A teraz parę dat założenia pierwszych kolei: Manchester—Liverpool 1830 r., St. Etienne — Lyon 1832 r., Bruksela — Mecheln i Norymberga—Fürth 1835 r., Paryż — St. Germain 1837 r. itd. — W Niemczech dopiero 9 grudnia 1838 r. pozwolono w nocy kursować pociągom, coprawda z szybkością równą tylko połowie dziennej.

Poniżej: Środkiem pociągu biegnie korytarz, z którego prowadzą wejścia do kabin pasażerskich.



W ojczyźnie lokomotyw w Anglji, o ile się nie mylę, dotąd nie zniesiono prawa, nakazującego, by przed każdym mechanicznych pojazdem biegł biegacz z trąbką ostrzegając przed zbliżającym się wozem!

Warto porównać nowoczesną lokomotywę z dawną. Parowóz kolei Norymberga—Fürth z fabryki Stephensona ważył 6.000 kg i miał moc 12—15 KM. Polski nowoczesny o aerodynamicznych kształtach parowóz Pm 36, wystawiony był na wystawie paryskiej w 1937 r. i zyskał sobie pochlebną nazwę „La bele Polonaise". Potężna to maszyna: ciśnienie w kotle 18 at., cała długość z tendrem 23,8 metrów, ciężar 164.000 kg, moc 1.900 KM, średnica kół 2 metry. Szybkość maks. 140 km przy ciężarze ciągnionym 300.000 kg! Znaczenie komunikacji parowej zilustruje może poniższych parę cyfr: jak zwykle Ameryka prowadzi, długość torów USA wynosi 383 tysiące km., następuje Rosja z 83 tysiącami, Niemcy 54, a Polska ma 20 tysięcy km. torów. Biorąc pod uwagę ilość torów na 10 km. kwadratowych, to przoduje Belgja z 16, Niemcy 11, a my z 5. Ciekawe jest też wiele poszczególni obywatele naszej ziemi wydają rocznie na podróże zagraniczne przeliczone w złotych i na głowę ludności: Amerykanin 35, Duńczyk 29, Anglik 25, Polak wydaje najmniej, bo tylko 1,62, jeżeli idzie o ścisłość to trochę mniej od nas bo 1,60 wydaje Finlandczyk.

Wypada wymienić jeszcze kilka nazwisk: 25 lat temu w marcu 1914 r. umarł w 68 r. życia Jerzy Westinghouse. Jego wynalazek z 1872 roku, pneumatyczne hamulce umożliwiły jednoczesne i pewne hamowanie całego pociągu. I ten, zdawałoby się, genjalny i pożyteczny pomysł, nie przyjął się od razu. Magnat kolejowy USA, któremu powiedział, że potrafi zatrzymać w biegu pociąg — poprostu wyprosił Westinghouse'a za drzwi. — Jerzy Pullman był pierwszym konstruktorem wozów sypialnych (rok 1863), wozu korytarzowego i restauracyjnego. Potem zaczęto budować wagony o konstrukcji żelaznej, daje to bowiem znaczne bezpieczeństwo podróżnym. Ostatnio zajęto się zmniejszeniem oporu powietrza, pochłaniającego większość siły lokomotywy i zaczęto budować pociągi aerodynamiczne. Ostatni taki cud techniki przedstawiają zamieszczone zdjęcia pociągu „City of Los Angeles" w drodze między tą miejscowością a Chicago. Trasę 3500 km przebiega w 39 godzinach, rozwijając szybkość 165 km. na godz. Pociąg ten uderza estetyką linji i na nim też widać, że rzecz dobrze skonstruowana i zbudowana w myśl zasad techniki, ma swój urok, ba! nawet piękno! Wewnętrzne jego urządzenie jest tak luksusowe, jak tylko Ameryka może sobie na to pozwolić i jak to... wolna konkurencja może stworzyć. W USA koleje są bowiem własnością prywatnych przedsiębiorstw i dzięki temu poszczególne linje prześcigają się wzajemnie w coraz wymyślniejszem wyekwipowaniu wozów. W pociągu mamy kąpiel, fryzjera, stenotypistkę, radjo, „air conditioning" to jest automatyczne oczyszczanie i utrzymywanie stałej temperatury powietrza w wagonie itd.

Wprowadzono też pociągi elektryczne i już w 1910 r. jeden taki próbny pociąg pod Berlinem osiągnął szybkość 209 km na godz. — Ostatnio AEG (Powszechne Tow. Elektryczne) w Berlinie zbudowało lokomotywę rozwijającą szybkość nie byle jaką, bo 225 km.

Osobny rozdział to koleje wiszące. Pierwszy zbudował taką kolejkę angielski inż. Palmer w 1821 r. w Elberfeld, ciągnioną przez zwierzęta. — Lartigue zbudował 3-szynową kolej. Podpory żelazne trójkątne, mają jedną szynę na wierzchołku trójkąta, a 2 po bokach. Na górnej szynie spoczywa ciężar pociągu, a boczne służą jako podpory. Koleje takie zbudowano m. in. w Hiszpanji, Tunisie, Irlandji itd. Ma ona głównie tam zastosowanie, gdzie grozi zasypanie piaskiem toru, gdyż szyna leży 1 metr powyżej ziemi. Znaną jest wisząca kolej Elberfeld-Barmen.

Dokończenie na str. 31-ej.

KĄCIK
FILATELISTYCZNY

Już został zapowiedziany polski znaczek pocztowy z okazji mającego się odbyć zjazdu Polaków z zagranicy, który będzie wykonany według projektu artysty p. Boratyńskiego. Dyskutując nad wartością graficzną wszystkich wydanych niedawno znaczków w naszej Ojczyźnie, przychodzimy do przekonania, że są one bezporównania ładniejsze, aniżeli te serje, które nalepialiśmy na listy przed dziesięciu laty, nie wspominając już wogóle o czasach inflacyjnych. — Kwestja, czy nie należałoby teraz już przejść do druku heljograwiurowego, wymagałaby dłuższej dyskusji. (Proponujemy Czytelnikom znalezienie innego, ale technicznie doskonałego wyrażenia na „Rastertiefdruck"!). — Mamy wrażenie, że tak jak nasze staloryty nadają się doskonale przy motywach historycznych, tak fotograficzna zmienna głębia tonów byłaby stosowniejsza przy znaczkach F. I. S. lub „Pomocy Zimowej". Nie wiadomo w tej chwili dokładnie, jaki będzie los niesprzedanych zapasów znaczków „Pomocy Zimowej" za 25+10 i 55+15 groszy, wiemy jednak napewno, że szersza publiczność zupełnie tych znaczków nie nabywa, chociaż filatelistów jest dzisiaj legjon. Wprawdzie wycofane po wyjściu z obiegu znaczki będą później do nabycia w Muzeum Poczt. i Tel., ale kto wie, czy nie za znacznie wyższą cenę. To też warto dzisiaj porobić sobie zapasy na przyszłość.

Wydana w Niemczech serja „automobilowa" daje na pierwszym znaczku komiczny model pierwotnego samochodu (Benza), który przedstawia się raczej jako zabawka dla starszych dzieci w porównaniu z nowoczesnym modelem popularnym czy też wyścigową maszyną Carraccioli. Barwy są oczywiście zgodne z przepisami dla korespondencji międzynarodowej, a format ten sam co znaczków pomocy zimowej, lecz poziomy.

Francuski znaczek, z rozstrzelanym przez Niemców w czasie wojny światowej A. Trulin, nie będzie zbyt rzadki ze względu na niską dopłatę (30 c. = 4,5 gr.), ale z drugiej strony przynajmniej publiczność gremjalnie będzie mogła składać datki na budowę pomnika na cześć ofiar wielkiej wojny.

W. H.

„Wartość artystyczna znaczka pocztowego": odczyt pod tym tytułem zostanie wygłoszony w sobotę 4 bm. o godz. 18 w Muzeum Narodowem w Sukiennicach.



Najnowsze znaczki niemieckie wydane z okazji międzynarodowej wystawy samochodowej w Berlinie — oraz znaczek francuski przedstawiający fragment projektu pomnika ku czci cywilnych ofiar wojny.


SPÓJRZ!
ZOSI ADORATOR WYCHODZI Z ANIĄ!
O CZYM TO GAWĘDZICIE W TAKI DESZCZ?
NIC TAKIEGO! TYLKO, ŻE ANIA ODBIŁA CI JURKA... CZĘSTO WIDZIAŁYŚMY ICH RAZEM.
NIE POWINNAŚ TEGO MÓWIĆ, ZUZIU.
NIE MÓWCIE TAKICH GŁUPSTW, DZIEWCZĘTA. JEŚLI JUREK WOLI ANIĘ ODEMNIE, NIC NA TO NIE PORADZĘ.
JEST RADA! POWINNAŚ PÓJŚĆ DO DENTYSTY W SPRAWIE TWEGO NIEMIŁEGO ODDECHU - WSZYSCY O TYM MÓWIĄ. JEŻELI WIĘC POZBĘDZIESZ SIĘ NIEMIŁEGO ODDECHU, ANIA NIE BĘDZIE DLA CIEBIE NIEBEZPIECZNA!
... ODDECH PANI STAŁ SIĘ NIEMIŁY Z POWODU NIEODPOWIEDNIO CZYSZCZONYCH ZĘBÓW. CELEM USUNIĘCIA CZĄSTECZEK POŻYWIENIA ZE SZCZELIN MIĘDZY ZĘBAMI, POWINNA PANI UŻYWAĆ PASTY DO ZĘBÓW COLGATE O PRZENIKAJĄCEJ, PODWÓJNIE DZIAŁAJĄCEJ PIANIE, KTÓRA CZYŚCI DOKŁADNIE I SKUTECZNIE.
COLGATE ZWALCZA NIEMIŁY ODDECH.
Badania wykazują, że 76% ludzi w wieku powyżej 17 lat ma niemiły oddech. Stwierdzono również na podstawie badań, że najczęściej niemiły oddech pochodzi z nieodpowiednio czyszczonych zębów. Zalecam pastę do zębów COLGATE, gdyż... pasta do zębów COLGATE zwalcza niemiły oddech.
PO 3 MIESIĄCACH DZIĘKI COLGATE
CO ZA WSPANIAŁY CYRK. DZIĘKUJEMY TOBIE I TWEMU ADORATOROWI ZA ZAPROSZENIE NAS.
JUŻ NIE ADORATOR, ZUZIU ONI SĄ JUŻ PO ŚLUBIE.
TAK, A ZAWDZIĘCZAM TO OBECNIE TOBIE I ZUZI
MÓJ ODDECH JEST TERAZ ŚWIEŻY, A ZĘBY BIELSZE— DZIĘKI PAŚCIE COLGATE.
CZYŚĆ ZĘBY BEZPIECZNIE I DOKŁADNIE PASTĄ COLGATE.
Wiesz sam, jak trudno jest przeoczyć, lub nawet zignorować fakt, że ktoś obok Ciebie ma niemiły oddech... Nie zapominaj, że Ty sam mógłbyś być teraz właśnie tak odstręczający. Niemiły oddech jest najczęściej spowodowany cząsteczkami pożywienia między zębami i wzdłuż dziąseł. Lecz to, czego nie zdziała szczoteczka do zębów, może dokonać Pasta do zębów Colgate. Jej przenikająca piana czyści każdą szczelinę, rozpuszczając i usuwając cząsteczki pożywienia oraz osad. Kup tubę i od dzisiejszego wieczoru zacznij myć zęby Pastą Colgate. Poczujesz, jak przyjemnie świeże będą Twe usta po oczyszczeniu zębów Pastą Colgate— spójrz o ile bielsze są Twe zęby
PASTA DO ZĘBÓW COLGATE
PASTA DO ZĘBÓW COLGATE
PASTA DO ZĘBÓW COLGATE
Dzieci uwielbiają doskonały smak pasty Colgate. Bez trudu można więc je skłonić do czyszczenia zębów, gdyż pasta Colgate uprzyjemnia tę czynność.

Nieznany jest los...

ANDRÉ MAUROIS

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD
MARJI NADACHOWSKIEJ-KNIAGININOWEJ

NOWELA

„O godzinie jedenastej zebrała się grupa radykalistów. Jednogłośnie przyjęto porządek dzienny zebrania, przedstawiony przez prezesa i uchwalono wejść w porozumienie z innemi grupami większości republikańskiej, ażeby jak najprędzej zlikwidować przesilenie gabinetowe... W południe grupa socjalistów..."

Lucile de Peyrignac westchnęła. Jakże można interesować się tem przesileniem gabinetowem? Słuchała wiadomości politycznych, żeby w swej samotności usłyszeć ludzki głos. Umierała ze smutku i nudy w tym walącym się zamku w Perigord, gdzie przez oszczędność mąż kazał jej żyć z dziećmi. Poprzedniego dnia w czasie burzy, część dachu runęła na wielkie kamienne schody. Deszcz przeciekał teraz aż do przedpokoju, Gilberta nie było i Lucile bez jego pomocy nie umiała sobie poradzić.

„O trzeciej godzinie — mówił głos, który co chwilę zagłuszały wyładowania dalekiej burzy — prezydent Rzeczpospolitej wezwał do siebie prezesa Izby deputowanych i powierzył mu misję utworzenia gabinetu. Pan Herriot prosił o czas do namysłu, gdyż chciał się poradzić przyjaciół. Przechodzimy teraz do wiadomości z zagranicy..."

Zagranica... Lucile pomyślała nagle o podróży do Hiszpanji, którą bezpośrednio po ślubie odbyła z Gilbertem. Jakże byli szczęśliwi w Toledo, w tej gospodzie, gdzie w altance ocienionej dzikiem winem podano im wyśmienity posiłek, który ogrzewało słońce. Teraz Toledo jest w ruinach, a ich szczęście.. Nie, ich szczęście było prawie całkiem nietknięte, tylko przytłumione przez ubóstwo, przez nieobecność Gilberta, przez niepokój.

„Praga. — Dzisiaj rano, w pobliżu Nedsee, w górach Czeskich rozbił się jakiś samolot francuski. Pasażerowie: mężczyzna i kobieta, ponieśli śmierć. Sekretarz poselstwa francuskiego udał się na miejsce wypadku, aby rozpoznać zwłoki".

Trzaski w aparacie wzmogły się. Przekręciła gwałtownie wyłącznik i cisza zaległa olbrzymią, pobieloną wapnem i ozdobioną podziurawionem obiciem salę, w której przebywała. — Poza jej buduarem i pokojem dziecinnym była to jedyna sala zamku, możliwa do zamieszkania. Na wiadomość o tym wypadku lotniczym, Lucile doznała na chwilę wrażenia niepokoju, choć Praga leżała daleko od drogi Gilberta, który był pilotem na linji Paryż—Londyn. Lecz czyż wiadomo, gdzie znajduje się, co czyni, o czem myśli Gilbert? Jakże się teraz po czterech latach małżeństwa wydawał innym od tego młodego człowieka, którego tak bardzo kochała. Gdy w 1922 roku poznała go jako wojskowego lotnika w pobliżu Strasburga, gdzie mieszkała wówczas z rodzicami, została podbita jego odwagą i wymową. Piękny? Czy Gilbert był piękny? Nie miało to znaczenia, był męski, błyskotliwy, podobał się. W tych czasach mogła całemi godzinami słuchać jak mówił o tem, co trzebaby zrobić, żeby poradzić na wszystko złe w Europie. Gilbert miał plany wojskowe, finansowe, społeczne. Jego idee gwałtowne i zuchwałe często drażniły rodziców Lucile, stare urzędnicze małżeństwo, lecz w samej Lucile wzbudzały one ogromne zaufanie i nadzieję. Gilbert wierzył, że jest przeznaczony, by pewnego dnia objąć rządy we Francji. A któż mógł być godniejszym od niego?

Stary Leymarie, z drżącemi rękami (miał już dwa ataki i szaleństwem było trzymać go, jako jedynego mężczyznę w tym olbrzymim domu) przyszedł zawiadomić, że obiad jest podany.

— Przynieście mi go tutaj — powiedziała Lucile — i dorzućcie do kominka.

Jedząc białe kasztany, rozmyślała dalej... Odwaga Gilberta... Był to jedyny rys jego charakteru, który jej nie rozczarował. Gilbert był bezgranicznie odważny, nawet czasem zuchwały, jakby z rozpaczy i wstrętu do życia. Lecz z tą wielką odwagą fizyczną nie szła w parze odwaga moralna... Nieporządek Gilberta, jego nieumiejętność zorganizowania życia, jeśli tylko nie chodziło o czynności bezpośrednie i proste... To radjo, naprzykład, kupione za trzy tysiące franków i płacone w miesięcznych ratach, gdy Lucile nie miała pieniędzy, żeby umeblować pokój dziecinny. Pewnego wieczora przywiózł go z dumą z Paryża i w czasie całego swego urlopu tańczył z żoną przy dźwiękach jazzu londyńskiego lub cygańskiej muzyki z Budapesztu. Było to czarujące i wesołe... Lecz później Gilbert wyjechał, a Lucile musiała starać się o pieniądze na weksle. Często odmawiała sobie ognia, żeby zaoszczędzić kilka kawałków drzewa, gdy tymczasem Gilbert w Paryżu lub Londynie żył wspaniale.

* * *

Całą noc w kominach wież gwizdał wiatr. Lucile spała źle i nazajutrz rano, wcześnie, słuchała nowych wiadomości. Przesilenie gabinetowe nie skończyło się jeszcze. Pan Herriot odmówił utworzenia gabinetu. Gdyby Gilbert był tutaj, te wiadomości miałyby pewne znaczenie. Gilbert lubił politykę, pochodził ze starej linji szlachty perigourdzkiej i mówił często o zbliżeniu się do ludu, przedstawieniu się wyborcom jako socjalista. „Ach! Moja mała Lucile — powtarzał — zobaczysz, jakich wielkich rzeczy dokonamy!" Nie wierzyła mu już, i zresztą nie życzyła sobie wcale, by dokonywał wielkich rzeczy. Wolała trochę więcej bezpieczeństwa, trochę komfortu, trochę szczęścia dla dzieci, trochę częściej obecności przy sobie jego samego, którego tak kochała... Te wiadomości z Paryża nie miały żadnego znaczenia, kiedy Gilbert był tak daleko. Wiedziała dobrze, że prędzej czy później, gabinet zostanie utworzony i życie nie zmieni się przez to wcale.

„Praga. Rozpoznano pasażerów samolotu francuskiego, który spadł wczoraj w górach Czeskich. Był to lotnik Gilbert de Peyrignac i pani Moreau-Verneuil, z domu Vera Bezukow... Londyn. Zamieszki w Palestynie odbiły się wczoraj echem w izbie..."

Lucile zdawało się, że jakaś niewidzialna siła ścisnęła jej serce i usiłowała je zatrzymać. Lotnik Gilbert de Perignac... Był tylko jeden: jej mąż. Lecz jakże Gilbert mógł spaść w górach Czeskich. To było niemożliwe... Nie ulega wątpliwości, że to jakaś pomyłka.

Znalazłszy cień nadziei, Lucile odetchnęła swobodniej. Trzeba wiedzieć. Zatelefonować — to był jedyny sposób. Ażeby to zrobić, trzeba było iść na pocztę (zamek nie miał połączenia), wezwać biuro „Air-France".

Zadzwoniła. Po długiej chwili czekania zjawił się starzec z drżącemi rękami.

— Leymarie — powiedziała ze spokojem, który ją samą zdziwił — dajcie mi mój deszczowiec, wychodzę.

Na dworze hałaśliwie pluskał deszcz. — Wiatr przepadał pod furtą i zamiatał podwórzec zamkowy. Nogi ślizgały się w gliniastym błocie drogi, lecz Lucile biegła nieczuła, nieświadoma.

Gdy z twarzą ociekającą deszczem weszła na pocztę, urzędniczka wydała okrzyk: „Ach! Więc pani hrabina już wie. Właśnie wysyłałam mego małego do pana mera z urzędowym telegramem... Biedny pan hrabia! Zawsze mu mówiłam, że te maszyny są niebezpieczne. Śmiał się! I proszę!"

* * *

Lucile upadła zemdlona na kamienną posadzkę biura.

Gdy się ocknęła, zobaczyła przy sobie obok urzędniczki, starego Leymarie i doktora Lecrec, mera Peyrignac. Cierpiała bardzo, bo uderzyła się przy upadku i pod włosami miała ranę, lecz od chwili, gdy odzyskała przytomność, okazywała odwagę i rezygnację, któremi zachwycał się doktór. Z ministerstwa spraw zagranicznych przyszedł telegram, donoszący, że hrabia Gilbert zginął w okolicznościach niewyjaśnionych i żądający, by pani de Peyrignac, jeśli była w stanie podróżować, przybyła jak najprędzej do Paryża.

— Biorąc pod uwagę niedyspozycję pani, dzisiaj nie może być mowy o wyjeździe — orzekł lekarz.

— Dlaczego — spytała. — Chcę wiedzieć, chcę zrozumieć... A jeśli to pomyłka w nazwiskach... w papierach...

— Niestety! proszę pani — powiedział doktór — jest bardzo mało szans. Ministerstwo nie byłoby nas powiadomiło o tem, nie poinformowawszy się wprzód dokładnie.

— Ministerstwo może się mylić. Mój mąż... Nie... Pojadę o 2 godzinie.

Konieczność działania, przygotowanie walizy, udzielanie poleceń niańce, jazda na dworzec podtrzymywały ją nieco. Gilbert umarł... Patrząc na wzgórza Limousin, na wilgotne łąki i na powolne ruchy wieśniaków w polach, nie mogła wierzyć, by w tym tak dobrze znanym świecie umarł Gilbert. Słyszała jeszcze jego głos:

— Ach, moja mała Lucile! Ten kraj! Jakże jest piękny!... Gdy będę ministrem robót publicznych!"...

W Chateauroux wsiadł jakiś oficer. Lotnik... Gilbert umarł... I w jakiejże niezrozumiałej przygodzie? Niezrozumiałej, lecz nie nieoczekiwanej... Bardzo prędko doszła do przekonania, że być żoną Gilberta, to żyć w ustawicznej niepewności. Dziwny chłopak i taki czarujący... Jakże ją ujął, ją, małą alzacką dziewczynę, spokojną i sentymentalną. Gilbert lubił przygodę, przygody; ona lubiła pewność, która panowała w domu jej rodziców. Gilbert potrzebował gwałtownej namiętności; Lucile w miłości lubowała się odpoczynkiem i zaufaniem. Ona wniosła do małżeństwa niewielki majątek i umiarkowane potrzeby; Gilbert okazał się równocześnie rorzutnym i biednym. Od trzech lat żyła, nie wyznając sobie tego, w strachu przed takiem obudzeniem, jak to, które teraz nadeszło.

Na stacji w Aubraie kolporter wywoływał dzienniki wieczorne. Kupiła kilka gazet. Zawierały krótkie wzmianki i katastrofie: „Gilbert de Peyrignac, 29 lat, doskonały pilot, zażądał i otrzymał w ostatnim tygodniu od towarzystwa „Air-France" urlop ośmiodniowy, który miał się wczoraj skończyć. Pani Moreau-Verneuil, jego towarzyszka podróży, żona paryskiego profesora, pochodzenia rosyjskiego, była córką pułkownika Bezukowa. Samolot, nowoczesny turystyczny aparat, zakupiła pani Moreau-Verneuil kilka dni temu. Wszyscy gubią się w domysłach, jakie były motywy tej wspólnej podróży".

Więc Gilbert prosił o urlop, nie uprzedziwszy o tem swej żony. Od tygodnia, gdy ona myślała, że jest daleko w służbie, on przebywał w Paryżu, a listy do niej kazał wysyłać swym kolegom z Londynu. Później wyjechał, wioząc tę cudzoziemkę do Europy środkowej. Jakiż mógł być ukryty cel tego niezrozumiałego postępowania? Może ta nieznajoma zaproponowała mu olbrzymią sumę za odwiezienie do Pragi? Gilbert ciągle bez pieniędzy, mógł ulec pokusie... Lecz w takim razie dlaczego ukrywał tę

podróż? Czy może pani Moreau-Verneuil była jego kochanką? W takim razie pocóż ten nierozważny, niedorzeczny krok?

* * *

Na dworcu oczekiwali na nią dwaj mężczyźni zaalarmowani przez mera. Jednym z nich był szef jej męża w „Air-France", drugim urzędnik z Quai d'Orsay. Ofiarowali jej swe usługi i pomoc. Postawiła im kilka pytań, które ją dręczyły. Czy Gilbert powiadomił towarzystwo o swoich projektach? Nie, towarzystwo udzieliło mu urlopu i sądzono, że Peyrignac jest u siebie w Perigord. Kto to była ta pasażerka i czy wiadomo, dlaczego wybrała się w tę podróż? Była żoną Moreau-Verneuil, profesora liceum Fontanes, człowieka utalentowanego i wielkiej przyszłości. Ministerstwo powiadomiło męża tej pani, który był tak samo zdziwiony, jak pani de Peyrignac, nie wiedząc nic o projektach swej żony. Ta dwa dni wcześniej opuściła dom, mówiąc, że jedzie na wieś do swych przyjaciół. Nie powiadomiła męża ani o zakupnie samolotu, ani o wyjeździe do Czechosłowacji.

— Lecz czemże była dla mego męża? Pasażerką? Przyjaciółką?

— Niestety, nie wiemy więcej, niż pani. Śledztwo z pewnością wyjaśni to wszystko. W tej chwili należałoby zdecydować się: czy życzy sobie pani wyjechać na miejsce, by rozpoznać zwłoki męża i zabrać je ze sobą? W takim razie towarzystwo poniesie koszta podróży. Lub może życzy pani sobie, by poselstwo spełniło ten smutny obowiązek? Pan Moreau-Verneuil zdecydował udać się do Pragi. Wyjeżdża dziś wieczór z dworca wschodniego o godzinie dziesiątej.

— Jeżeli to możliwe, zrobię tak, jak on.

— Myślę, że to będzie bardzo rozumnie, bo możliwe, że obecność pani okaże się przydatna dla śledztwa. Postaramy się więc o miejsce dla pani. Jeszcze kilka godzin zostaje pani w Paryżu. Gdzieby pani chciała pójść?

— Nie chcę widzieć nikogo. Muszę kupić sobie kilka czarnych sukien.

O dziesiątej godzinie na peronie wschodniego dworca spotkała inżyniera z „Air-France", który wskazał jej miejsce w sypialnym wagonie i powiedział z sympatją o jej mężu:

— Peyrignac był doskonałym pilotem, bardzo lubianym przez kolegów, oryginalnym i szlachetnym.

W tym momencie zobaczyła urzędnika z Quai d'Orsay, idącego w towarzystwie mężczyzny, ubranego w czerń, jak ona. Był to pan Moreau-Verneuil. Przechodząc obok niej, uprzedzony przez swego towarzysza, ukłonił się. Pomyślała, że wygląda na dobrego i wytwornego mężczyznę.

* * *

Po bezsennej nocy zasnęła o świcie. Przebudzenie przyszło z trudem. Dopiero po chwili zrozumiała, gdzie jest. Zawołała: „Gilbercie!" i nagle przypomniała sobie wszystko. Czyż to był koszmar? Podniosła ciężkie skórzane firanki; zobaczyła górski krajobraz szwajcarski czy bawarski, szałasy z drzewa, dzwonnice o przedziwnych kształtach. Nie! nie śniła; była wdową; to słowo, o którem po raz pierwszy myślała, zdawało się jej dziwne i groźne. Długo płakała, później westchnąwszy, zaczęła się ubierać. Ledwie skończyła, gdy zapukał i wszedł konduktor; trzymał w ręce bilet wizytowy.

— Przepraszam panią, lecz ten pan pyta, czy zechce go pani przyjąć na chwilę o godzinie, dogodnej dla pani. Mówi, że pani wie, dlaczego.

Popatrzyła na bilet: „André Moreau-Verneuil" i nie zawahała się.

— Która godzina?

— Jedenasta, proszę pani!

— Proszę powiedzieć temu panu, żeby przyszedł za dwadzieścia minut. Przyjmę go...

Gdy wszedł, uderzył ją znów ten wyraz dobroci, który zauważyła u niego na dworcu i to jej przyniosło ulgę.

— Proszę pani! — powiedział — krok, który czynię w tej chwili, może się wydać dziwnym, lecz znajdujemy się oboje w sytuacji wyjątkowej...

— Proszę się nie usprawiedliwiać, — przerwała Lucile — ja sama chciałam pana zobaczyć... I ja również, jak pan odczuwam potrzebę porozumienia... Czy pan wie, w jaki sposób żonie pana i mojemu mężowi przyszła myśl wybrać się w tę tragiczną podróż?

— Nie, proszę pani! Nazwisko pani męża usłyszałem po raz pierwszy wczoraj rano przez telefon. Lecz jeżeli pani pozwoli, opowiem pani wszystko, co wiem... Potem uczyni pani to samo... może odkryjemy w ciągu tej rozmowy jakieś... (przerwał, żeby westchnąć) jakieś fakty, które nam pomogą zrozumieć tę okropną tragedję... Moja żona była Rosjanką i kobietą niezwykle piękną... — Przybyła do Francji z rodzicami po wybuchu rewolucji. Kiedy ją poznałem, miała lat szesnaście, lecz już była istotą, najrozkoszniejszą pod słońcem. Proszę mi wybaczyć, lecz nawet teraz nie mogę mówić o niej bez uwielbienia. A jednak...

Przerwał na chwilę, i potem mówił dalej:

— A jednak, nie wiedząc o tem zresztą, zadała mi wiele cierpień. Najpierw muszę pani powiedzieć, że ta miłość zupełnie wstrząsnęła mojem życiem. Matka, moi bracia nie pochwalali tego, że się żenię z ubogą cudzoziemką. Pochodzimy ze starej, solidnej, paryskiej rodziny mieszczańskiej. Bracia są kupcami, ja profesorem... Węzłami małżeńskimi łączyliśmy się z kobietami naszego środowiska. Wiera była napewno pochodzenia szlacheckiego; miała w sobie coś kapryśnego i zuchwałego, co odrazu przeraziło moich krewnych. Ten straszny koniec dowodzi, że mieli rację. Chciałem z niej zrobić Francuzkę i to Francuzkę mojej rodziny. Było to jednak niemożliwe. — Moja matka, która nie miała dla Wiery żadnej sympatji, nie uczyniła też nic, ażeby

ją sobie pozyskać. Co do mnie, byłem bardzo zajęty przygotowaniem mej rozprawy. Żona wróciła wkońcu znów w środowisko rosyjskie, które znałem słabo i nad którem, jeśli chodzi o działalność, nie miałem żadnej kontroli. Wiera, choć od dzieciństwa znajdowała się na wygnaniu, zachowała ciekawą nostalgję za Rosją. Miała rzeczywistą przyjemność w mówieniu po rosyjsku, w słuchaniu rosyjskiego, w cytowaniu rosyjskich poetów, co mi się wydawało prawie niezdrowe. Dwa, czy trzy razy, wracając, zastałem ją w towarzystwie młodych, nieznanych mi mężczyzn, mówiących ze zdumiewającem ożywieniem tym językiem tak trudnym, a tak pięknym. Pytałem o temat ich rozmów... Zawahała się, zmieszała, powiedziała cośkolwiek, inni się uśmiechali.. Udawałem, że wierzę.

Westchnął, wyciągnął z portfelu fotografję i powiedział:

— Proszę, niech pani popatrzy! Zrozumie pani dlaczego byłem pobłażliwy i łatwowierny...

Lucile wzięła fotografję i spojrzała z bolesnem i namiętnem zainteresowaniem na regularne rysy cudzoziemki.

— Jakże była piękna! I jakże wyglądała młodo i szczerze...

— Ta młodość, ta szczerość były moją i jej zgubą — ciągnął dalej. — Wobec tego dziecinnego, niewinnego oblicza, nie mogłem wierzyć w jej tajemniczą działalność, o której mówiła mi jej częsta nieobecność i milczenie.

Lucile długo wpatrywała się przez szybę w potok, który w głębi wąwozu płynął wzdłuż drogi.

— To prawda — powiedziała wkońcu — Ja także miałam obok siebie człowieka, którego kochałam, a którego nie rozumiałam. Umarł, a ja nie wiem, kim był, co chciał, dlaczego żył... Ta podróż do Czechosłowacji naprzykład... Nigdy nic o tym kraju nie mówił.. Czy pan nie wie coś o tem?

— Nie, proszę pani... Wczoraj skomunikowałem się z rodziną Wiery; przed wyjazdem widziałem się z jej bratem. Pytałem się sam siebie (w chwilach zwątpienia i niepokoju dochodzi się do nieprawdopodobnych przypuszczeń) czy rosyjska organizacja dobroczynności, do której Wiera należała, nie miała do spełnienia jakiejś sekretnej misji... Zdaje się, że tak jednak nie było; jej przyjaciele byli tak samo zaskoczeni jak ja, byli nawet zaniepokojeni, bo Wiera miała, jak mi powiedzieli, pewne papiery, których po jej zniknięciu nie będą mogli znaleźć. Nie! rzeczywiście całą noc spędziłem na rozstrząsaniu różnych hipotez...

* * *

W Pradze oczekiwał ich sekretarz poselstwa. Dla niego byli obydwoje osobami tego samego „dramatu administracyjnego" i dlatego uważał za naturalne poprosić ich razem do swego samochodu i zawieźć do hotelu, gdzie zostawili swe walizki, potem do poselstwa, gdzie minister pan de Boissier już ich oczekiwał. Poseł oświadczył w rozmowie, że chciał im oszczędzić uciążliwej podróży aż na miejsce wypadku i wydał zarządzenie, ażeby zwłoki przewieziono do stolicy.

— Zresztą stwierdzenie tożsamożci wydaje mi się już niepotrzebne. Dokumenty, paszporty, fotografje nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Jeden z mych sekretarzy, ten, który państwa tu przywiózł, pojechał po papiery, znalezione w samolocie. Są one tego rodzaju, że chciałem widzieć państwa oboje, przed wysłaniem ich do departamentu. Przedewszystkiem paszporty, które są nietknięte, nie mają żadnej wizy.

— Nie mogło być inaczej — powiedział pan Moreau-Verneuil — przynajmniej jeśli chodziło o moją żonę, ponieważ ażeby otrzymać wizę, potrzebowałaby mego pozwolenia. Ja zaś nic nie wiedziałem o tej podróży...

— Ani pani o podróży swego męża?

Dokończenie na str. 24-ej.

ARTYŚCI NA CENZUROWANEM: LEON WYRWICZ





Obok: Jedna z czterech „historycznych" papierośnic Leona Wyrwicza, pokryta autografami wybitnych Polaków.

Na lewo: Oto „bilety wizytowe" sympatycznego artysty, które rok rocznie pojawiają się niemal w każdem mieście i miasteczku, budząc zawsze wielkie zainteresowanie zapowiedzianym występem.

Znajomość ze sztuką Wyrwicza zawarłem przed wielu laty, po przeżyciu przedtem chwil dość burzliwych. Dziś już dokładnie nie pamiętam, w którym to było roku — ale napewno nie później, niż w początkach wielkiej wojny, a może nawet tuż przed jej wybuchem. — Miejscem tego rendez-vous był Kraków, gdzie Wyrwicz stawiał pierwsze kroki na scenie i estradzie.

Nie bez sentymentu wspominam owe burzliwe przeżycia. Wywołał je sprzeciw mego ówczesnego guwernera, który będąc człowiekiem „surowych zasad", nie lubiącym zmieniać raz powziętej decyzji, a mając zleconą od „najwyższej instancji" domowej opiekę nademną i moimi braćmi, zabronił nam pójść na wieczór Wyrwicza, motywując swe „zarządzenie" niestosownością produkcyj świetnego humorysty dla młodzieży gimnazjalnej.

Jaką to było tragedją dla nas, młodych, zrozumie ten tylko, kto na podstawie własnych wspomnień i wrażeń potrafi ocenić ów magnetyczny wpływ, jaki wywierało i wywiera nazwisko Wyrwicza i każdy jego występ na wyobraźnię nie tylko młodzieży, ale wogóle tych wszystkich, którym danem było raz bodaj w życiu zetknąć się z artystą i jego oryginalną sztuką. Dość, że postanowiliśmy wówczas odwołać się do „najwyższej instancji" i sprawę wygraliśmy na całej linji. Ojciec, który był bardzo wrażliwy na brak dyscypliny z naszej strony, tym razem zdezawuował polecenie guwernera i pozwolił nam wybrać się na wieczór Wyrwicza. Dziś jeszcze pamiętam jego słowa, któremi tak scharakteryzował produkcje świetnego humorysty:

„Sylwetki Wyrwicza, to ludzie nie fantazji, lecz żywi, wzięci z codziennego życia, na którego fali i my płyniemy. Nie sposób więc zasłaniać oczu młodzieży przed śmiesznostkami i ułomnościami tego życia tylko dlatego, że pokazuje je świetny artysta na estradzie, a nie samo życie np. na ulicy, po której chodzimy nie tylko my starsi, ale i młodzież bez zasłon na oczach".

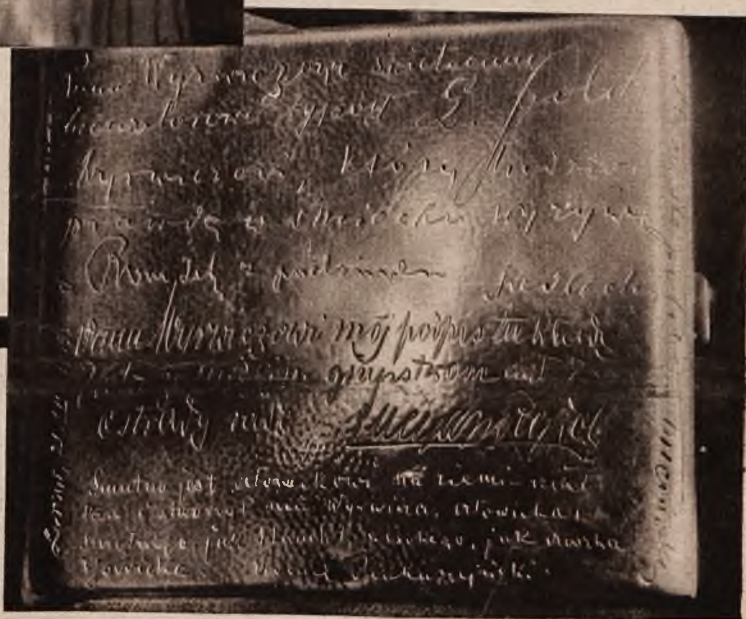


Powyżej: Wyrwicz w jednym ze swych kapitalnych monologów, z nieodłącznym kapeluszem, tak charakterystycznym dla sylwetki artysty. — Fot. Studio, Kraków.

Przytem ojciec mój nie zapoznawał prawdziwości przysłowia: „Dobry żart tynfa wart" i chętnie, gdy tylko czas mu pozwalał, sam korzystał z okazji do szczerego śmiechu na wieczorach Wyrwicza. Gromadziły one wówczas *„tout Cracovie"*, ludzi ze wszystkich sfer i obozów politycznych, będąc najlepszą kuźnią sławy artysty, która promieniować zaczęła i na inne miasta i miasteczka dawnej Galicji.

Początków tej sławy należy jednak szukać już na scenie „Teatru Ludowego" przy ul. Krowoderskiej w Krakowie, gdzie Wyrwicz debjutował za dyrekcji Gabryelskiego, w gronie późniejszych gwiazd: Dulębianki, Jaracza, Osterwy, Węgrzyna i in. Po trzech zaledwie latach pobytu na scenie Wyrwicz rezygnuje z teatru, postanawia usamodzielnić się

Dokończenie na str. 20-tej.



Na prawo: Na tej papierośnicy odnajdziemy bez trudu autografy Kornela Makuszyńskiego, Lucjana Rydla, Grzymały-Siedleckiego, Ludwika Solskiego i Teofila Trzcińskiego.

Zastanów się i odpowiedz:

Życie dostarcza nam często okazyj do wykazania zmysłu orjentacyjnego w kwestjach na pozór łatwych do rozstrzygnięcia, które jednak jak pułapki złowić mogą niezastanawiających się w sieć kompromitacji. Nie pomogą tu najbardziej ścisłe wiadomości z różnych dziedzin, nie wystarczy t. zw. ogólne wykształcenie. Decydującą okaże się zawsze umiejętność wypowiadania swych zapatrywań po dokładnej kontroli danego tematu — umiejętność ścisłego myślenia, której często brak ludziom.

A oto 8 pytań o treści, zaczerpniętej z krańcowo różnych dziedzin. Spróbujmy, czy odpowiedzi wypadną pomyślnie:



Dlaczego znany badacz okolic podbiegunowych, admirał Byrd wybierając się na wody Oceanu Lodowatego, kazał swej załodze zabrać ze sobą ... lodownię elektryczną ?



Czy piękna pani będzie mogła przeżywać w Europie chwile romantyczne przy świetle księżyca, jeśli w Ameryce przestanie słońce świecić ?

Dlaczego Arab woli białe konie, a nie czarne — czy dlatego, że: a) są szybsze? b) znoszą łatwiej upał? c) mniej jedzą? d) są piękniejsze ?

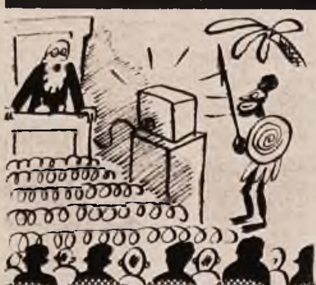




Który kraj o ustroju dyktatorskim przyznał kobietom prawo wyborcze, a który kraj demokratyczny prawa tego im odmawia ?

Kto był ulubioną aktorką Szekspira ?





Kto usłyszy prędzej mówcę: a) Publiczność, siedząca w ostatnich rzędach sali, czy b) słuchający tego przemówienia przez radjo, oddalony o 5.000 kilometrów ?

Które z wyliczonych zwierząt widzi najlepiej w zupełnej ciemności: a) sowa?, b) nietoperz?, c) jaguar ?





Jak brzmią nazwiska czterech eks-władców, którzy zmuszeni są żyć zdala od swych krajów ?

A teraz, gdy już wypisaliśmy nasze odpowiedzi, sprawdźmy, o ile pomyliliśmy się — gdzie umiejscowił się nasz błąd myślowy. Częste takie ćwiczenia mogą doprowadzić do usprawnienia umiejętności ścisłego myślenia, bez którego niema rozumnej odpowiedzi (patrz str. 31!). **J. L.**





ŻYWYCH LUDZI I... CIENIE ...KAMIENNYCH LILIJ



Na lewo: Właściciel cennych zbiorów inż. Andrzej Boni w jednym z salonów swego mieszkania, które przypomina żywo muzeum. — Na stalugach widzimy obraz Dominichina „Świętą Rodzinę".

WŚRÓD ARCYDZIEŁ PRYWATNEGO MUZEUM...

Do najciekawszych dokumentów artystycznej twórczości należą rysunki. One to opowiadają o woli artysty, niezmienionej jeszcze pokonaniem materjału i techniki. Oglądanie rysunków wielkich mistrzów daje prawdziwą rozkosz artystyczną, gdyż zbliża nas do twórcy w sposób bezpośredni i ułatwiony. Każda kreska to odruch intuicji i fantazji artysty, mówiący o charakterze, temperamencie i fantazji twórcy.

Wielcy mistrzowie Odrodzenia, którzy dążyli do stworzenia arcydzieł, pozostawili po sobie mnóstwo szkicowników, które stały się dokumentami oświetlającymi nam jasno drogi twórczości artystów.

Stąd kolekcje rysunków wielkich malarzy budzą olbrzymie zainteresowanie nie tylko wśród historyków sztuki i krytyków, lecz również wśród artystów i miłośników sztuki.

Jest rzeczą dziwną, że dochowało się w muzeach tak wiele tek rysunkowych mistrzów Odrodzenia, jak Leonarda da Vinci, Michała Anioła, Dürera, czy wreszcie słynny zbiór rysunków pt.: „Liber veritatis" promotora pejzażu francuskiego Claude Lorrain'a, rysowane sepją. Przepięknym jest szkicownik Van Dycka z jego podróży do Włoch, znajdujący się w zamku Chatsworth w Anglji, zbiory rysunków Holbeina i innych mistrzów, znajdujące się w muzeum Luwru, w Oxfordzie (Rafael), w Wiedniu (Albertina), w Dreźnie (Kupferstichsammlung).

Każdy rysunek, pojawiający się w antykwarniach, a przypisywany wielkim mistrzom, wyławiany jest dziś skrzętnie przez zasobne zarządy muzeów państwowych w Europie i prywatnych w Stanach Zjednoczonych.



Adrian Brouvier (1608—7638): „Chłopi w karczmie".

Prywatne kolekcje rysunków spotkać można bardzo rzadko i to tylko w wielkich miastach Zachodu.

To też z przyjemnością dzielimy się z Czytelnikami dziś pięknem rysunków znakomitych malarzy, które należą do bogatej kolekcji italskiego architekty, zamieszkałego od czasu wojny światowej w Warszawie, p. Andrzeja Boniego.

Zbieracz ten, o wielkiej kulturze artystycznej, związany jest rodzinnymi węzłami z Rzymem i Carrarą.

Inż. arch. Boni jest twórcą kilku monumentalnych świątyń, jak bazylika na Pradze, potem kościół OO. Jezuitów w Warszawie i wielu prywatnych will i domów, skomponowanych nowocześnie, a jednak łączących się konstrukcyjnie z piękną tradycją italskiego budownictwa.

P. Andrzej Boni jest posiadaczem niezmiernie cennej kolekcji rysunków wielkich mistrzów. Kolekcja owa znajduje się przez 150 lat w posiadaniu rodziny jego, a pochodzi z różnorodnych zbiorów rzymskich i niemieckich. Niemal na każdym rysunku znajduje się drobniutka pieczątka dawnych zbieraczy, między którymi są takie, jak portrecisty Johna Reynoldsa i Tomasa Lawrance'a, lorda Egments'a, J. Richardsona, dra Petzolda, mjr. Williamsa. Każda pieczątka składa się ze znaku graficznego i z inicjałów zbieraczy. Kolekcja składa się z 87 rysunków szkoły włoskiej, 18-tu francuskiej, 21 holenderskiej i flamandzkiej, 19-tu niemieckiej, 2-ch hiszpańskiej i 85-ciu polskiej.

Wśród rysunków spotykamy małe arcydzieła, jak akwarela Claude Lorrain'a, posiadająca wszelkie zalety talentu tego mistrza pejzażu, który w subtelnej tonacji oddał romantyczny nastrój nadciągającej burzy.

W tece francuskiej znajdują się pozatem rysunki J. Callota, Poussina, J. B. Hueta, J. Boulangera, J. Grassi'ego, A. Kaufman.

Z włoskich malarzy należy wymienić rysunki Pawła Veronese, Fr. Bartolomea, J.

Tintoretta, Raffaela, Palmy młodszego, B. Canaletta, Guercino, J. Romana, Caravaggi'ego i Palmy starszego.

Szkołę holenderską reprezentują Teniers, V. O. Stade, Rubens, Patter, V. A. Dyck i inni, Hiszpanję zaś Murillo i Ribeira, Polskę Chodowiecki, Płoński, Czechowicz, Plersch, Wojniakowski i inni.

Kolekcja p. inż. Boniego należy do najcenniejszych, na jakie zdobyć się może współczesny zbieracz dzieł sztuki. Wyraża ona jednolitą myśl, jaka przyświecała przodkom jego, świadcząc najszlachetniej o kulturze artystycznej. W dzisiejszej epoce upadku zamiłowań artystycznych i zaniku kolekcjonerów uwypukla się charakter i wartość tych zbiorów.

Właściwą atmosferę kultury artystycznej tworzą jej odbiorcy, a więc przedewszystkiem kolekcjonerzy o wysokim smaku artystycznym, którzy łączą znawstwo z pewnym wyraźnym i określonym celem swej idei. Istnieje w Polsce wiele zbiorów prywatnych, które naogół charakteryzuje przypadkowość i brak logicznego wątku. Jak rzadko ludzie wydający pieniądze na zakupy dzieł sztuki zdają sobie dokładnie sprawę ze swych własnych zamierzeń i celów, dla którego to czynią. System i cel, jaki kierował twórcami kolekcji p. Boniego, był niezmiernie pożyteczny i jasny: ratowanie i skupianie dokumentów pracy artystycznej dla stworzenia zbioru, który posiada swój sens i wymowę.

Tak bogatej kolekcji nie zamierza p. Boni ukrywać w swych pięknych apartamentach w stolicy, lecz obiecał niżej podpisanemu użyczyć jej w całości na wystawę w Krakowskiem Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych.

Urządzenie wystawy tak cennej kolekcji poza przyjemnością, jaką sprawi zwiedzającym, będzie propagandowym pokazem smaku i kultury kilku pokoleń tej wybitnej rodziny kolekcjonerów.

Marjan Dienstl-Dąbrowa.



Na prawo: Francesco Giovanni Barbieri, zwany Guercino, (1591—1666): — „Pejzaż", rysunek piórkiem.



Na prawo: Paweł Veronese, (1528—1588): „Pokłon królów", — szkic piórkiem do większego obrazu znajdującego się w Medjolanie.



Na lewo: — Daniel Chodowiecki (1726—1801): — „Portret szlachcica polskiego" rysunek do miedziorytu.



Na lewo: Jan Bogumił Plersch (1732—1817): „Męka Pana Jezusa", — rysunek piórkiem.



Na prawo: Antoni van Dyck (1599—1641): „Ukrzyżowanie św. Piotra", szkic sepją.



Poniżej: Tintoretto, (1512—1594): „Muzyka", szkic olejny na papierze.



Powyżej: Fragment wiaduktu nartostrady, przerzucony ponad trasą kolejki na Gubałówkę.

Poniżej: Ślad licznych zjazdów narciarzy z Gubałówki.





Wagonik kolejki opuściwszy stację wyjazdową zdąża na szczyt Gubałówki.

GUBAŁÓWKA
RAJ NARCIARZY

Zdjęcia: Dr A. M. WIECZOREK — ZAKOPANE



Wagonik kolejki mija narciarzy.



Powyżej: Wspaniała górska panorama roztacza się przed oczami narciarzy ze szczytu Gubałówki.

Poniżej: Końcowa stacja kolejki, gdzie cały dzień panuje ożywiony ruch.



Gubałówka — to nie nowy, a stary raj narciarski, gdzie w zamierzchłych, dobrze przedwojennych czasach, były tereny, uznane przez nielicznych pionierów narciarstwa polskiego za „trudniejsze", za godne ówczesnych zaawansowanych narciarzy, podczas, gdy Antołówka uchodziła za miejsce do ćwiczeń dla początkujących. Kto potrafił zjechać z Gubałówki, patrzał z góry na tych z Antołówki. Jakże się to w ciągu kilkudziesięciu lat czasy zmieniły!

Narciarstwo urosło w naszych czasach do roli najbardziej popularnego i uniwersalnego sportu zimowego. Kasprowy stał się „codzienną strawą" przeciętnego narciarza i terenem pielgrzymek pań z walizeczkami i panów w melonikach, Gubałówka z „trudnej" stała się najłatwiejszą dzięki nowej kolei linowo-terenowej, a na Antołówkę nie buduje się nawet żadnego wyciągu saniowego. Biedna, mała konkurentka Gubałówki pozostała nadal tem, czem była, bo kto tam już o własnych siłach wyleźć nie potrafi, ten się chyba nadaje do jakiegoś „tańca patałachów" na którymś z licznych zakopiańskich dancingów.

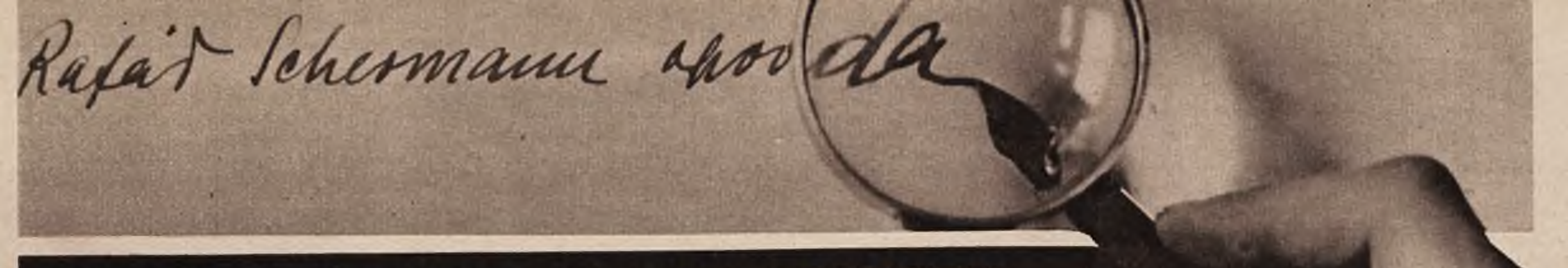
Nie da się zaprzeczyć, że liczne i bardzo istotne walory Gubałówki, jako grzbietu, sięgającego od Poronina do Kościelisk, były do niedawna jakby niedocenione przez ogół, któremu Tatry przesłaniały wszystko. Istotnie — panorama Tatr z Gubałówki jest tak wspaniała, że można nie widzieć gruntu i góry, z której się to ogląda. Ale też góra jest długim grzbietem, z którego, z jednego tylko punktu, najwyższego, oglądano dotychczas Tatry. Nie znano właściwie Gubałówki, jako grzbietu, a jeżeli poznawano ją to działo się to w zimie na nartach. Dlatego, odkąd jest kolej na Gubałówkę, można te tereny nazwać „nowym rajem narciarzy", ponieważ ruch turystyczno-narciarski wzmógł się niebywale.

Można mieć poważne zastrzeżenia co do zewnętrznej architektury budynków na szczycie, można się nie zgadzać ze smakiem estetycznym tych czynników, którym zależało, aby pewne rzeczy z pawilonu polskiego na wystawie paryskiej przenieść żywcem na obce im zupełnie tło, ale trzeba przyznać, że nowa kolej na Gubałówkę była potrzebna i zaludniła nie tylko jej szczyt, który stał się prawdziwym „jarmarkiem" wszelakiego narciarstwa, lecz i pognała liczne rzesze na inne części grzbietu, równie wspaniałe widokowo, dające przy tem przeróżne możliwości zjazdowe — na Furmanową, na Blachówkę, do wsi Kościelisko. A jakie to są możliwości Gubałówki i jej najbliższego otoczenia, to dowód w tem, że w czasie ostatnich zawodów FIS można tam było przenieść start i metę najważniejszych biegów, które z konieczności musiano rozegrać w tym rejonie.

Niesamowity jest widok z Gubałówki w nocy, gdy wzdłuż trasy kolei jarzą się niekończącym szeregiem lampy, zaś głęboko w dole płonie Zakopane swojemi światłami. Wygwieżdżone niebo mroźnej nocy tatrzańskiej pokazuje zarys łańcucha Tatr Polskich! Na pierwszym planie ciężkie czapy swieżego śniegu, smreki uginają się pod ciężarem okiści. Czasem mignie sylweta zapóźnionego narciarza. Z buchającego światłem schroniska dolatują dźwięki tanga. Końcowa stacja na szczycie wyrzuca coraz to nowe tłumy gości, spragnionych zabawy i sportów.

Taka jest współczesna Gubałówka, roztańczona na nartach, na dancingu zakopiańskiej zimy.

Antoni Wieczorek.



WYWIAD Z SŁYNNYM PSYCHOGRAFOLOGIEM

Gdy codziennie nieomal stwierdzamy, że w dzisiejszym świecie tak bogato wyposażonym w techniczne zdobycze, zachodzi na wielu polach paradoksalny wprost rozdźwięk między materją a duchem, że mimo postępu w zakresie techniki, fizyki, chemji i tylu innych dziedzinach ścisłych człowiek dzisiejszy stoi jeszcze na bardzo niskim poziomie rozwojowym, mimowoli narzuca się pytanie, jakie właściwie zdobycze możemy wymienić właśnie w dziedzinie ducha. Jakie nowe, nieznane dotychczas „wynalazki" poczyniono w kierunku zgłębienia naszego umysłu, naszego charakteru, jednem słowem tego całego kompleksu, który, dosyć zresztą naiwnie, nazywamy sercem i duszą? Odpowiedź na to pytanie nie trudno znaleźć: wymienimy w pierwszym rzędzie postęp psychologji, badania człowieka na podstawie test, tak często stosowanych już dzisiaj przy wyborze zawodu, wspomnimy o rozwoju nauk metapsychicznych, liczne uczone towarzystwa badające objawy para-normalne ludzkiego ducha. Lecz wszystkie nieomal te zdobycze w dziedzinie ducha, poza testami, mającemi raczej praktyczne, namacalne znaczenie, są do dziś dnia dosyć nieuchwytne.

Dopiero dziedzina psychografologji, tak jeszcze nowa, tak jeszcze mało ujęta w kanony naukowe i tyle wymagająca dalszych doświadczeń, zdaje się być pewnym, niezawodnym czynnikiem w poznawaniu duszy ludzkiej, psychologji człowieka, jego odruchów woli, nieraz jego podświadomości. Młoda to nauka, sięgająca zaledwie czasów przedwojennych, więc nic dziwnego, że jeszcze wiele upłynie czasu, zanim nabierze pewnych, określonych, konkretnych form, zanim przyoblecze się w szatę zdecydowaną, i zanim ustalą się jej granice i możliwości. Jest to tem trudniejsze, że interpretatorów tej „wielkiej nauki", tej współczesnej magji psychologicznej jest niezwykle mało, a właściwie jest tylko jeden: Rafał Schermann.

Niema bodaj człowieka, czytającego choćby pobieżnie pisma, któryby się nie spotkał z tem nazwiskiem. Pisano o nim i mówiono szeroko i długo nietylko w Europie, ale też w Ameryce, a reportaże o tej wybitnej, ciekawej i tajemniczej, mimo całą otwartość w udzielaniu wywiadów, jednostce obiegły całą kulę ziemską. — Mimo to jednak pozostaje tyle jeszcze do powiedzenia, tyle pytań ciśnie się pod pióro, gdy się o nim pisze, tyle zagadek pozostałoby do wyjaśnienia, że Rafał Schermann pozostaje zawsze, w każdym czasie i w każdej szerokości geograficznej, równie „aktualny", o ile można to brzydkie, szare słowo zastosować do takiej jednostki, równie niepokojącej jak ciekawej. Cóż w tem zresztą dziwnego: czyż człowiek, który rekonstruuje przeszłość i widzi fakty rozwijające się jeden za drugim w przyszłości, jak „klatki" taśmy filmowej, człowiek, który wyczuwa najtajniejsze myśli człowieka, może stracić kiedyś na swej fascynującej wartości? Psychografologja nie jest wynalazkiem materjalnym, nie może też spotkać ją los takiego wynalazku, który będzie interesował tylko pewnych ludzi zawodowo czy intelektualnie z nim związanych, innych natomiast pozostawiając obojętnych.

Oddawna ciekawiła mnie, oczywiście po dyletancku traktowana, grafologja: z cierpliwością godną może lepszej sprawy czytałem dzieła słynnego grafologa Crépieux-Jamin, zastanawiałem się nad słowami Lombrosa, który zbrodnicze instynkty człowieka starał się odnaleźć w piśmie. I jedyne może, co z tych badań wyniosłem, było przekonanie, że pismo naprawdę nie kłamie. To przekonanie, poparte zresztą nawet mojemi skromnemi spostrzeżeniami, przyczyniło się też do logicznego zaakceptowania psychografologji jako dalszego ciągu grafologji. Ale zaraz trzeba tu dodać jedno zastrzeżenie: psychografologja jest wprawdzie kontynuacją, rozszerzeniem grafologji, pod warunkiem jednak, że sam psychografolog ma niezbadany co do pochodzenia, ale znany w skutkach, dar jasnego widzenia, kontaktowania się z pismem mu przedłożonem, wysnuwania z niego nietyle wniosków według przepisów i kanonów grafologji co na podstawie wizji emanującej z danego pisma.

Gdy więc pewnego razu zaproponowano mi wizytę u Rafała Schermanna, przyjąłem propozycję z radością i... obawą. Cieszyło mnie, że poznam tego wyjątkowego człowieka, ale z drugiej strony miałem wrażenie, że stanę niejako przed sędzią, może nie groźnym, złośliwym i inkwizytorem, ale bądź co bądź sędzią. Bo przecież nie ulegało wątpliwości, że nie będę mógł sobie odmówić, aby Schermannowi nie pokazać mego własnego pisma. A wtedy... Wtedy dusza moja, moje dobre i złe strony (zwłaszcza o te ostatnie się bałem!) ukażą się oku jasnowidza (Schermann protestuje przeciwko temu określeniu jako nieścisłemu i przypominającemu nieco przesadną reklamę, natomiast zgadza się na określenie „człowieka, który jasno widzi" wewnętrzne życie człowieka), i żadna siła ludzka nie zdoła go przekonać o czemś przeciwnem.

Mieszkanie Schermanna przypomina nieco... muzeum! Już w przedpokoju witają gościa liczne dzieła sztuki, które w dalszych pokojach coraz bardziej zwracają na siebie uwagę. Pełno tu na ścianach starych obrazów, w gablotkach dużo pięknych porcelan, szkła, minjatur, tabakierek i... dzwonków! Różnego rodzaju i wielkości, z bronzu, żelaza, srebra stanowią dziwaczną i jedyną w swoim rodzaju kolekcję. Zbieranie dzwonków jest, jak się później dowiaduję, „konikiem" Schermanna, który zresztą zna się dobrze na sztuce i gdyby nie był psychografologiem, byłby napewno znakomitym antykwarjuszem w dużym stylu.

W pięknie urządzonym i również pełnym zabytków sztuki gabinecie, zastaję Schermanna za biurkiem. Serdecznie wyciągnięta ręka, kilka ciepłych słów i cały „tajemniczy" nastrój, w jakim przyszedłem, gdzieś uleciał: mam przed sobą miłego, przenikliwie i dobrotliwie zarazem patrzącego człowieka, który, jakkolwiek miałby prawo do wyniosłości i uważania siebie za wyższego ponad otoczenie, jest mimo to człowiekiem o wielkiej prostocie i szczerości. Zanim zacząłem z nim mówić o psychografologji, skonkretyzowałem sobie w pamięci pojęcie grafologji: „grafologja to nauka, która wysnuwa z pisma ludzkiego wnioski co do jego charakteru", wszystko zaś, co leży poza tą definicją, co wkracza w przyszłość, lub co dotyczy bliżej określonych faktów byłych lub przyszłych, to już dziedzina psychografologji.

Poniżej: R. Schermann w swoim gabinecie.
ZDJĘCIA FOT. „AS"



— Jak i kiedy stwierdził pan u siebie zdolności psychografologiczne? — pytam Schermanna.

— Już jako mały chłopak czułem dziwne zainteresowanie dla wszelkiego rodzaju pisma. Gromadziłem też wszelkie listy, koperty i luźne zapisane kartki, starając się dowiedzeć od kogo pochodzą i jak wyglądają ci, co je pisali. Również w mych kolegów szkolnych, jeszcze w szkole ... obserwowałem ich pismo i już wtedy wpadłem na moje pierwsze odkrycie. Pismo jednego z kolegów szkolnych, garbuska, wykazywało wiele zakrętasów, które, jako bardziej oryginalne utkwiły mi w pamięci. W kilka lat później w szkole realnej znów udało mi się zdobyć pismo innego garbuska ujawniające te same dziwne cechy. Pierwszy krok do później wypróbowanej teorji był zrobiony: choroby i ułomności pozosta-

wiają w piśmie swój ślad. Powoli założyłem sobie album różnych próbek pism, wyszczególniając przy każdej z nich wygląd, charakter, wiek i t. d. autora pisma. Nigdy jednak, mimo tych zainteresowań nie myślałem poświęcić się karjerze opartej na moich zamiłowaniach: rodzice nakłaniali mnie do karjery praktycznej, ja sam miałem pewne zdolności malarskie, to też zamierzałem wstąpić do krakowskiej Akademji Sztuki. Los i okoliczności pokierowały mojem życiem inaczej. Przyjąwszy posadę w pewnem towarzystwie ubezpieczeń, pracowałem jako urzędnik, ale zainteresowania moje i zdolności psychografologiczne coraz bardziej i coraz częściej wysuwały się na pierwszy plan, dając coraz większe pole do praktycznego ich wykorzystania i czyniąc moje nazwisko jako psychografologa coraz bardziej znanem. Z czasów mego dzieciństwa przypominam sobie ciekawy wypadek jaki mi się wydarzył: jeden z kolegów szkolnych dał mi do obejrzenia pismo swego ojca. Gdy tylko spojrzałem na nakreślone słowa, zobaczyłem przed moim wewnętrznym wzrokiem obraz galopującego jeźdźca! Okazało się, że ojciec chłopca był rzeczywiście zapalonym amatorem jazdy konnej. To ukazywanie się określonych obrazów przy pomocy pisma stało się dla mnie regułą.

Chcąc możliwie dokładnie sprecyzować psychografologję jako naukę i jako funkcję, przerywam Schermannowi i pytam:

— Jaki stosunek zachodzi między grafologją a psychografologją?

Schermann uśmiecha się: nie wiem czy lituje się nad moją ciekawością, czy też może pytanie wydaje mu się naiwnem?

— Pyta się pan o związek między grafologją a psychografologją? Otóż proszę pana, grafologja wchodzi oczywiście również w zakres moich badań i stanowi ich podstawę. Ale poza tą pomocniczą nauką wchodzi tu w grę przedewszystkiem intuicja, a następnie dar widzenia w piśmie pewnych symbolów, pewnych rysunków, które mają związek z życiem piszącego. W mej książce „Pismo nie kłamie" spotka pan przykładów wiele: rysunek rewolweru w piśmie człowieka, który przemyśliwał nad morderstwem, rysunek pętli w piśmie chłopca, który zamierzał się powiesić i wiele innych. Nieraz nazywano mnie „jasnowidzem": otóż nie lubię tego określenia i zastrzegam się przeciwko niemu. Nie jestem jasnowidzem, ale człowiekiem, który widzi wewnętrzse życie człowieka na podstawie jego pisma. Porównałbym to może do zdolności słyszenia niektórych owadów, do których docierają tony dla człowieka nieuchwytne. Tak jak lekarz na podstawie badania chorego stawia diagnozę, tak ja na podstawie pisma umiem określić stan jego duszy, jego charakter, jego życiowe koleje.

— Czy może pan określić proces tego jasnego widzenia w piśmie, tych obrazów, które asocjują się z widokiem pisma? — pytam Schermanna.

— Starałem się to dokładnie określić i skonkretyzować ten proces, ale przyznam się, nie udała mi się ta próba — odpowiada Schermann. Bądź dlatego, że widzenie moje ma za każdym razem inny przebieg, bądź też dlatego, że jako osoba zainteresowana, w której umyśle czy podświadomości dzieją się te rzeczy, nie mogę ich uchwycić.

Obecny przy naszej rozmowie profesor T., znany nawiasem mówiąc uczony, o światowej sławie, pyta się żartobliwie Schermanna czy może mu powiedzieć kto do niego ostatnio dzwonił trzykrotnie nie odzywając się jednak gdy profesor T. zdjął z widełek słuchawkę.

Pytanie to dziwi mnie nadwyraz.

— Więc pan może też wyczuć obecność osoby trzeciej, nie będącej osobą badaną? Przecież ten nieznajomy nie ma bezpośredniego kontaktu z profesorem, który teraz jest tu obecny i nie ma pan próbki pisma tej osoby?

— Widzi pan — odpowiada Schermann — czasem a nawet nieraz udaje mi się skontaktowanie z taką trzecią osobą. Wyobraźmy sobie proces jaki zachodzi gdy naprzykład dzwoni u profesora T. telefon: ktoś dzwoniąc do niego myśli o profesorze, przesyła pod jego adresem swoje fale myślowe, które on przejmuje, nie zdając sobie oczywiście sprawy od kogo pochodzą i co oznaczają. I zdarza się, że adresat do którego owa fala dotarła przynosi ją mnie: otrzymuję połączenie z ową trzecią osobą wprawdzie z drugiej ręki, ale mogę ją czasem wyczuć!

Widzę, że powoli wchodzimy na teren czystej abstrakcji: nie mogę nadążyć za nią, ale niemniej, wiedząc jak poprostu, jak rzetelnie Schermann mówi o swej pracy, wierzę mu i wiem, że mówi „bona fide", chcąc dać maksimum wyjaśnienia na jakie go stać.

— Gdyby było na świecie więcej psychografologów — mówię — polityka stałaby się niemożliwą! Czy może pan sobie wyobrazić konferencję jakąś, debatę polityczną czy zjazd, gdyby wiedziano dokładnie z pisma danych mężów stanu co myślą naprawdę o poruszanych zagadnieniach? — Wszyscy trzej uśmiechamy się na tę myśl. Chyba, żeby brano na dyplomatów poprostu analfabetów! — kończę mój dziwaczny pomysł.

Schermann idzie do szafy pełnej papierów, teczek, notatek i wyjmuje kilkanaście teczek pełnych kartek zapisanych maszynowem pismem. Jak w porządnie prowadzonej kancelarji sądowej czy adwokackiej, każdy akt opatrzony jest datą i wszelkimi szczegółami, odnoszącymi się do danego wypadku.

— Widzi pan, oto notatka z przepowiednią śmierci Argentiny, słynnej tancerki. A tu akty sprawy zięcia rabina z Bełzu! A tu znowu pewnego człowieka, który udawał zaginionego arcyksięcia Jana Ortha! Wkońcu jeszcze jedna teczka zjawia się na stole: jakieś gryzmoły dziecięce, przypominające łudząco rysunki głów ludzkich stanowią tu załączniki aktu. Szczegóły o tej ostatniej sprawie znajdą Czytelnicy w jednym z rozdziałów książki Rafała Schermanna, która ukazywać się będzie w „Asie".

Patrząc na te niezliczone, tak różnorodne, tak fascynujące sprawy, które tu oto drzemią zamknięte w teczkach, zarejestrowane w suchych, krótkich notatkach, przychodzi mi na myśl, że niejedna z nich, ba! co druga bodaj nadawałaby się wspaniale na scenarjusz filmowy. Co za bogactwo tematów! Co za wybór!

— Słyszałem, że pańskie doświadczenia miały być wyzyskane przez jakąś wytwórnię filmową? — pytam Schermanna.

— Owszem, mówiłem na ten temat z berlińską „Ufą". Miałem im dostarczać kilka scenarjuszy rocznie. Mój wyjazd do Paryża uniemożliwił ten projekt, który rokował najlepsze i pewne zupełnie nadzieje. W Wiedniu zrealizowano dwa filmy w roku 1923 według mojego scenarjusza. Jeden z nich pod tytułem „Tajemnica pisma", a drugi p. t. „Tragedja kobiety".

— No tak, Ufa Ufą, ale pozostały polskie wytwórnie — oświadczam Schermannowi. — Trzeba by to jakoś zrobić! Przecież trudno lepiej obmyślonego przez samo życie materjału jak ten, który kryje się w pańskich tekach!

O czem tu jeszcze wspomnieć? Czego nie opuścić? Pytanie kłopotliwe: o Schermannie pisało się dużo, bardzo dużo, możnaby całą bibljotekę skompletować z dzieł, czasopism i wycinków gazetowych, które były mu poświęcone. A mimo to i my musieliśmy niejedno powtórzyć, niejedno napisać na nowo, bo człowiek, ten jest zawsze ciekawy, i choćby się o nim już czytało kilkakrotnie, zawsze pozostaje równie fascynujący, równie „świeży". Gdyż Schermann pozostaje tajemnicą: rąbek tej tajemnicy uchylą jego notatki oparte na autentycznych wypadkach, które Czytelnicy „Asa" będą mieli sposobność śledzić na łamach naszego magazynu. Znajdą w nich zagadnienia i fakty, które napewno w tym czy innym kierunku zainteresują ich, gdyż będą dotyczyć ich własnych spraw życiowych.

Jan Maleszewski.





Od lewej: Każdy z pokojów Rafała Schermanna napełniony jest od sufitu aż po samą ziemię ciekawymi obrazami i zabytkami sztuki wszelkiego rodzaju. A oto część kolekcji dzwonków, które pasjonują słynnego psychografologa. Za dzwonkami na ścianie obrazy szkoły holenderskiej.

Taniec miłości i śmierci

SZKIC HISTORYCZNY

TADEUSZ BILIŃSKI

Każdą epokę historyczną symbolizują ciekawe kobiety. I tak czasy rewolucji francuskiej, to czasy głośnych bohaterek: Marji Antoniny, przedstawicielki ustroju ginącego, pani Roland — oświeconego liberalizmu, Théroigne Méricourt — dzikiego tłumu, Karoliny Corday — reakcji przeciwko okrucieństwom, pani Cabarus, pani Beauharnais — Thermidora i lekkomyślnego życia Dyrektorjatu.

To są jednakże figury pierwszoplanowe. Poza niemi stoi jeszcze tłum kobiecy, jak za ścinającymi i ścinanymi szara masa, która się niewiele zresztą w swem życiu prywatnem zmieniała, mimo szalejącej dookoła burzy. Mylnem bowiem byłoby mniemanie, że podczas teroru zamarło życie towarzyskie, uliczne, zewnętrzne, w którem tak lubują się Francuzi. Przeciwnie żywszem może podówczas jeszcze biło tętnem.

Bo ludzie bez przyszłości, ludzie, których lada przypadek może jutro rzucić pod gilotynę, śpieszą się do zabawy i do użycia, do horacjuszowego korzystania z dnia dzisiejszego „carpe diem", skoro jutro jest tak niepewne i może być tragiczne. Przedewszystkiem — żywo, prędko i mocno.

Jeśli ktoś dziś zwiedza samotne i ciche galerje Palais Royal'u i widzi gmachy ministerjalne i spokojny, pusty ogród o obszernym dziedzińcu, gdzie tylko świetnie uchwycony w ruchu pomnik mówcy ludowego, Kamila Desmoulins'a — wzniesiony na tym tarasie Feuillantów, z którego on niegdyś lud paryski płomiennie do broni przeciwko despotyzmowi wzywał — przypomina jeszcze krwawą i bohaterską epokę Rewolucji, to — ten tylko z trudem wyobrazić sobie może to targowisko, ten tłok, który panował w Palais Royal jeszcze za czasów Balzaca, a cóż dopiero wtedy, kiedy należały te gmachy do osławionego Filipa Orleańskiego, który zaczął wynajmować pałac ongiś królewski częściowo na sklepy, domy gry, domy ropusty i restauracje. Kiedy właściciel z Orleanu zmienił się na Egalité, to i pałac z królewskiego przemianowany został na pałac Równości. Nie utrzymała się jednak ta nazwa. Po stu z górą latach powrócił on do historycznej nazwy Palais Royal'u, a właściciel jego przeszedł do historji, jako typ księcia nikczemnego, schlebiającego tłumowi dla popularności i przez tchórzostwo, co go nie ustrzegło ani od śmieszności, ani od mimowolnego zresztą złożenia głowy w ofierze hasłom chwili.

Przyjrzyjmy się pałacowi za czasów jego świetności. Wszystko tu sprzyja zabawie.

Liczne restauracje o niezbyt wysokich cennikach a urozmaiconych jadłospisach, jeszcze liczniejsze domy gry, właściwie szulernie do ogrywania naiwnych, dają złudną nadzieję łatwego zdobycia wszechpotężnego złota, lub mniej cenionych — w oczach gotowych do wszystkich usług dam — banknotów; obok sklepy modniarek, ubierające te damy jak najmniej, a mimo to jak najdrożej, jak najmniej, by nie tracić drogiego czasu i tak już zajmowanego przez zdejmowanie kunsztownych i olbrzymich kapeluszy; dalej przystanie przelotnej i płatnej miłości; wreszcie one same — jej kapłanki, ten cały niezmiernie liczny „batalion Cytery", tłoczący się w galerjach, narzucający się wszędzie i biegnący we wsze strony, niby mrówki „niepracowite".

Te zaś kobiety, którym wiek i uroda nie pozwalają już niczego spodziewać się od życia, robią pończochę na placu i liczą oczka... obok ilości spadających głów. Inne — młodsze, ładniejsze zapełniają galerję pałacu Równości... Te dwa odłamy kobiet z ludu — to symbole tańca miłości i śmierci, niby konwulsyj św. Wita, który się między niezbyt odległymi placami rozwija.

Uściski miłosne krwawe opromieniały odblaski. Może najsilniejszy wyraz tej rozpuście na tle krwawych tortur daje markiz de Sade, osławiony może ponad miarę i przewinę, bo obrazy jego fantazji literackiej są niewątpliwie gorsze i jaskrawsze, niż czyny, jakich się dopuszczał w życiu *).

Chociaż wiele kochał, niewiele mu przebaczano w życiu, spędzonem przeważnie w więzieniach, na które występkami podczas krótkich przerw zasługiwał. Uwolniła go z Bastylji rewolucja; zamknięty znów w epoce terroru na rok tylko, poczem używał najdłuższego, bo siedmioletniego okresu wolności — ale już ostatniego. Za kilka epigramatów politycznych na „potężnych" owego czasu uwięziono go w r. 1801 i odtąd nie opuścił już murów celi aż do śmierci, tj. w trzynaście lat później.

Nastąpił dziewiąty Thermidora: Ku placowi Rzeczypospolitej zdążał już ostatni wózek ofiar Terroru. Znikły żądne krwi Tricoteuse'y (robiące pończochy), niewiele zmieniło się w galerjach pałacu zabawy i miłości. Nie zmieniła się treść, uległy zmianie formy, na które więcej uwagi zwracały następne rządy. Niejaki Grimod de la Reynière, ot taki „szary" człowiek, prowadzi z dnia na dzień pamiętnik Rewolucji: 10 Thermidora, w dniu, kiedy spada głowa Robespierre'a, a wraz z nią zapada się w przeszłość cała krwawa epoka, zapisuje tylko słów kilka: „Nie było dziś ryb na targu". Smakosz, a może zręczny konspirator, niepewny trwałości zmiany rządów. Tak czy owak, napewno przetrwał je wszystkie, szczęśliwy i dlatego nie przeszedł do historji, nieszczęśliwy — tylko wtedy, kiedy na targach Paryża brakło czegokolwiek z jego smakołyków obiadowych kompletnego.

*) Markiz de Sade napisał kilka powieści jak „Justyna albo rozkosze występku" i „Sto dni Sodomy", które spalone zostały publicznie, ale istnieją jeszcze jako t. zw. „prywatne druki" i dały assumpt do określenia pewnego rodzaju perwersji mianem „sadyzmu".

(Dokończenie ze str. 11-tej).

i rozpoczyna pierwsze swe występy na estradzie. Już po kilku wieczorach jest on o krok od zdobycia popularności, o jakiej przedtem mało kto mógł marzyć. Prasa rozpisuje się na temat jego oryginalnego talentu i porównuje artystę z Gustawem Fiszerem, sławą lwowskiego teatru, mianując Wyrwicza jego następcą.

Pierwszy Boy-Żeleński podnosi tu głos protestu i w wnikliwej analizie udowadnia, że Wyrwicza nie da się z nikim porównać, gdyż stworzył on typ humorysty wręcz oryginalnego, którego sztuka niczem nie przypomina produkcyj innych głośnych artystów. Podczas gdy bowiem u Fiszera i jego naśladowców każda sylwetka odtwarzanego typu odznaczała się wykończeniem w najdrobniejszych szczegółach kostjumu i charakteryzacji — u Wyrwicza, występującego bez tej sztucznej maski, w zwykłem, codziennem ubraniu, decydującym jest zawsze tylko zarys ogólny sylwetki, co artysta uzyskuje wyłącznie z pomocą świetnej mimiki i plastyki gestów. Boy, charakteryzując pierwszych, użył jako przykładu karykatur rysunkowych z typu tych, jakie zamieszczały „Fliegende Blätter", a więc precyzyjnie wykończonych. Sylwetki Wyrwicza przyrównał natomiast do obrazków „Simplicissimusa", który wówczas pierwszy wprowadził typ karykatury szkicowej, stylizowanej w sensie graficznym.

To trafne ujęcie wartości sztuki Wyrwicza, oryginalne spojrzenie na technikę jego produkcyj tak wybitnej jednostki ze świata artystycznego, jaką był sztandarowy mąż „Zielonego Balonika", otworzyło oczy niejednemu sceptykowi i stało się probierzem, wedle którego zaczęli oceniać Wyrwicza w sensie dodatnim i jego dotychczasowi przeciwnicy.

Naszkicowane w monologach Wyrwicza postacie poczęły żyć w społeczeństwie dawnego zaboru austrjackiego, podobnie jak postacie z karykatur Kostrzewskiego w Kongresówce. Ich wady i ułomności stały się tematem porównań i niejednej złośliwości, a ich powiedzonka cytowano przy każdej okazji niczem wypróbowane przysłowia.

W latach wielkiej wojny, gdy szpitale i lecznice zapełniły się tysiącami rannych i chorych, Wyrwicz występuje tam często i zawsze bezinteresownie, wnosząc ze sobą atmosferę pogody i zapomnienia. Potem, z nadejściem dni wolności, widzimy go na estradzie wszędzie tam, gdzie słowem walczono o ugruntowanie polskości na ziemiach kresowych. Pod wpływem chwil, jakie przeżywał naród, zmienia się i sens wygłaszanych wówczas monologów. Wybór postaci pada na odpowiednie środowisko — milkną drastyczne akcenty, a w miejsce pociesznej pointy, kończącej jakiś obrazek, zjawia się ukryty akcent patrjotyczny.

Gdy życie w kraju potoczyło się normalnym torem, Wyrwicz wrócił do ciętej satyry.

Kilkakrotnie udało się skusić artystę do występów na scenie. Podziwiała go wtedy cała Polska w „Szwejku", w kapitalnej roli pułkownika-lekarza. Lorentowicz podniósł wówczas w swej krytyce z premjery warszawskiej, że kreację Wyrwicza można postawić tylko obok postaci Kamińskiego, gdy był u szczytu scenicznej karjery.

W trakcie swych występów Wyrwicz miał niezliczoną ilość okazyj do zetknięcia się z ludźmi o głośnych nazwiskach — mężami stanu, politykami, przedstawicielami literatury i sztuki. Wykorzystał je też w kierunku zaspokojenia swej namiętności do zbierania trwałych autografów, które obecnie pokrywają... cztery jego papierośnice. Te srebrne „futerały" są niewątpliwie unikatem w swoim rodzaju i stanowią niejako odbicie bujnego życia artysty. Widzimy na nich nazwiska: Józefa Piłsudskiego, Kazimierza Sosnkowskiego, Reymonta, Żeromskiego, Zapolskiej, Makuszyńskiego, Rydla, Witosa, Solskiego, Perzyńskiego, Wojciecha Kossaka, Daniłowskiego, Korfantego, Kazimierza Kamińskiego, Tetmajera, K. H. Rostworowskiego, Hoesicka, Nikorowicza, gen. Iwaszkiewicza, Adwentowicza, Daszyńskiego, Frenkla i wielu innych.

Powodzenie, jakiem cieszyły się występy Wyrwicza na przestrzeni zgórą 30 lat, w niczem nie osłabło. I dziś, podobnie, jak na początku karjery artysty, jego „bilety wizytowe" są w każdem mieście i miasteczku zwiastunami wieczoru, który przyjdzie spędzić na najmilszej rozrywce.

Kończąc ten z konieczności krótki szkic, powiem słowami autografu Rydla:

„Panu Wyrwiczowi mój podpis tu kładę
za to, że ludzkim głupstwom dał z estrady radę".

JULJUSZ LEO.

„TRIO" Słynny zespół B. Poźniaka (od lewej: E. Forster, B. Poźniak i S. Succo).



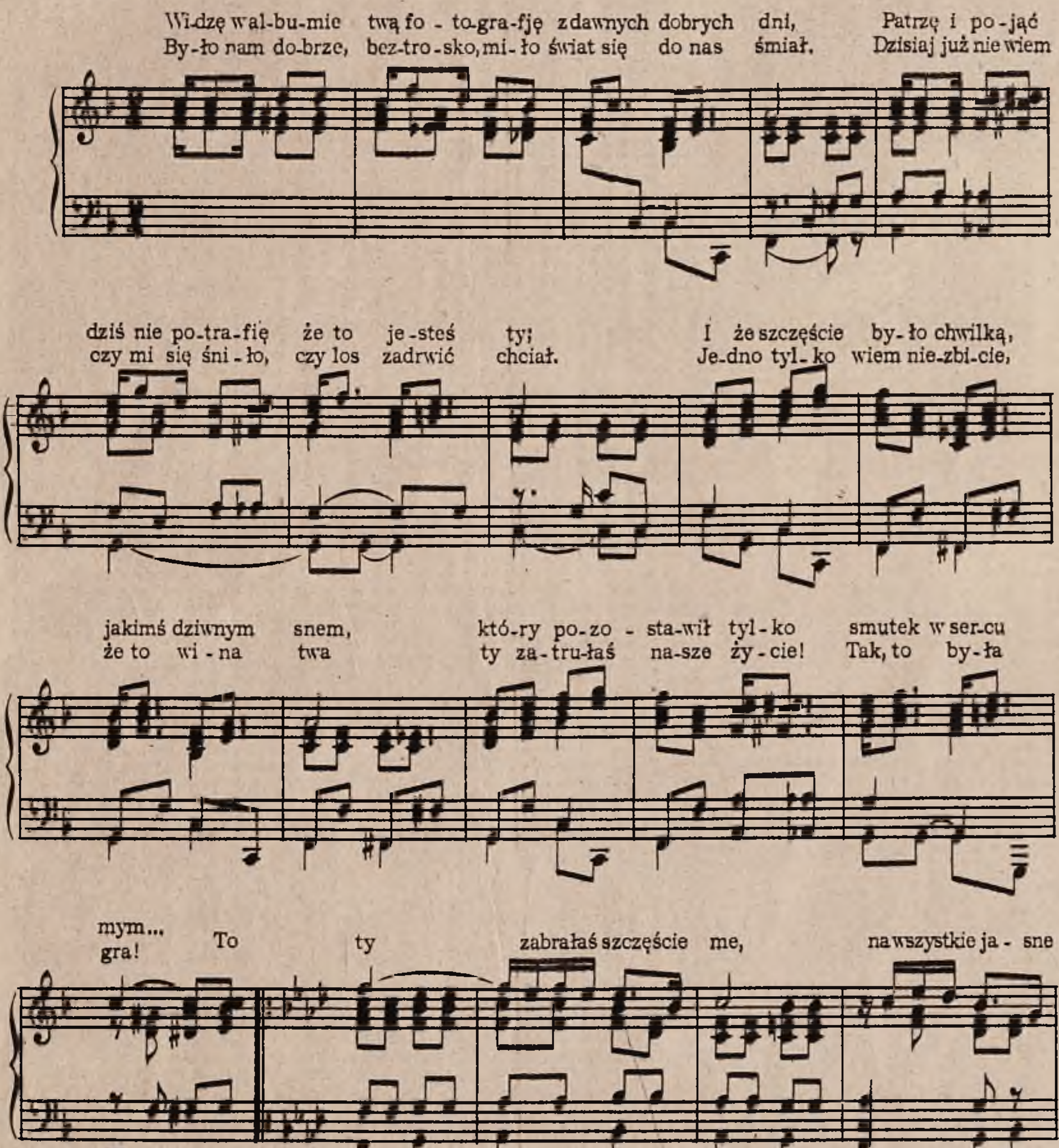
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA":

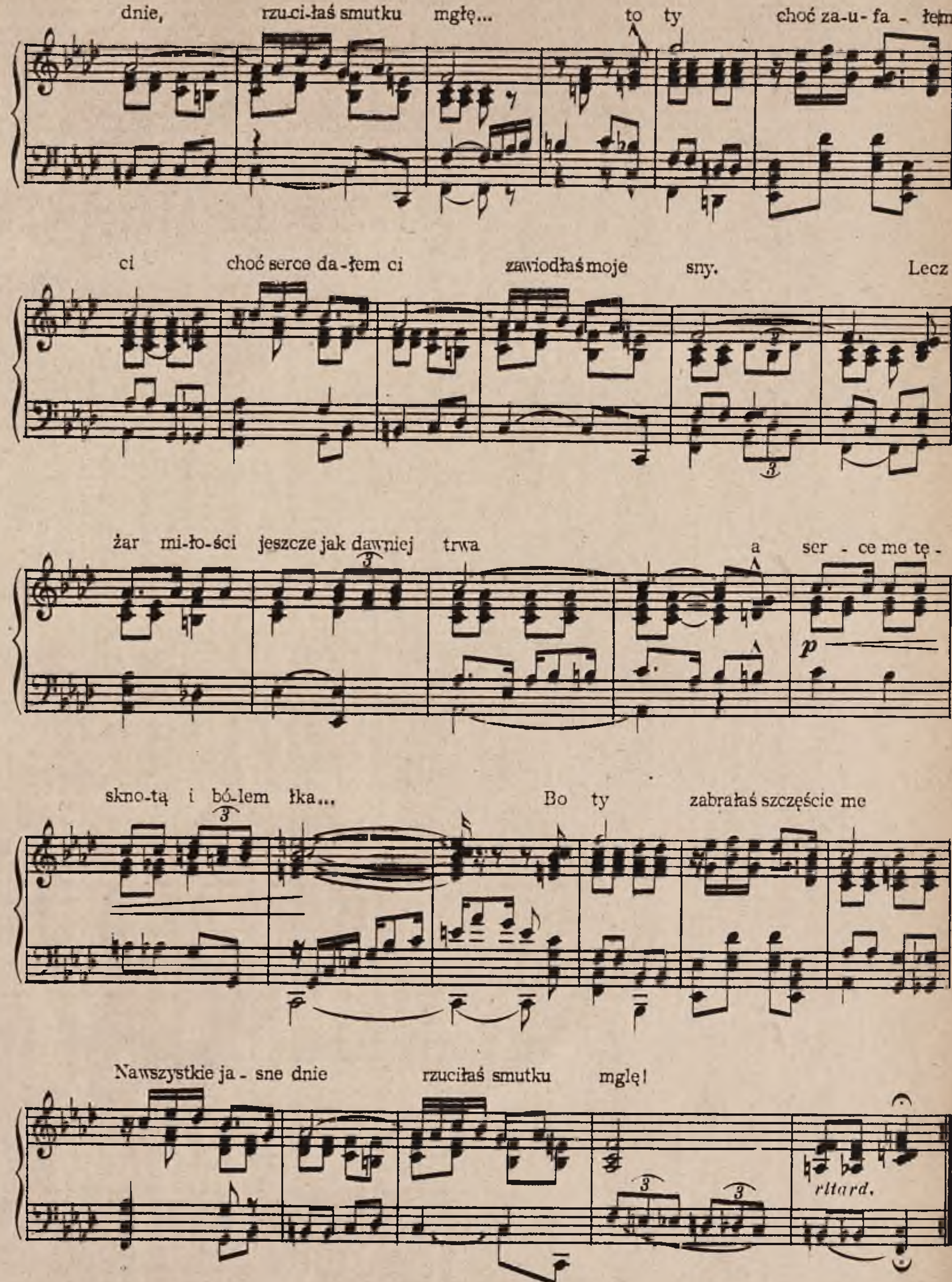
TY ZABRAŁAŚ SZCZĘŚCIE...

PIOSENKA

SŁOWA: WITOLD SKRZYPIŃSKI

MUZYKA: ALOJZY ZAREMBA





HIEROGLIFY NATURY

(SZTUKA „CZYTANIA" NA ŚNIEGU)



Nieskazitelnie biały i pozornie nic nie mówiący świeżo opadły śnieg, staje się bogatą w treści zimową księgą dla tego, kto umie w niej czytać. Na białej, śnieżnej karcie wyraźnie zostają wyryte i odciśnięte ślady stóp i palców przerozmaitych zwierząt, które opuszczają swe schronienia najczęściej w poszukiwaniu żeru. — Jakżeż różnorodne są znaki zapisane na białych kartach śniegu przez licznych przedstawicieli zwierzęcego świata.

Świeżo opadły śnieg pokryty śladami różnorodnych zwierząt, zdradza pewne momenty z ich życia. Na podstawie śladów, które nieco inaczej wyglądają, gdy zwierzę porusza się spokojnie, inaczej gdy biegnie czemś zaniepokojone, uważny czytelnik niby detektyw może w swej wyobraźni odtworzyć sobie sceny, jakie niedawno rozegrały się na śniegu.

Oto na dróżce leśnej lub na znaczniejszej przestrzeni pola biegną wyraźne ślady. — Z przodu dwa mniejsze, jeden za drugim, a z tyłu za nimi dwa dłuższe odchodzące na boki pod pewnym kątem. Baczny obserwator przyrody, który już nieraz śledził owe znaki, już je odczytał; wie dobrze, że tą dróżką czy polem wędrował zając. Zapewne wyszedł na przechodzkę i „kicając" rozglądał się wokoło lub może zasmakowała mu ozimina ukryta pod śniegiem czy też może zapragnął zetrzeć swe ostre i odrastające stale przednie zęby na twardej korze. Nieraz owe ślady nagle zmieniają swój wygląd, jedne i drugie stają się krótsze, widać, że spokojne „kicanie" zająca przeszło w gwałtowny galop. Zając zaczął umykać, dotykając pokrytej śniegiem ziemi zaledwie końcami swych kończyn. Musiał posłyszeć jakiś podejrzany szmer lub może wypatrzył czy też wywęszył niebezpieczeństwo i umknął, szukając ratunku w swych szybkich nogach.

Zdarza się niekiedy w pobliżu śladów szaraka wykryć i ślady jego niebezpiecznego wroga i prześladowcy — lisa. Odciski palców tego chytrego drapieżcy zakończone ostremi pazurami biegną za sobą sznurkiem, w jednej linji. Lis szedł bowiem wolno, rozglądał się i węszył w poszukiwaniu zdobyczy. W ślady wytworzone przez odnóża przednie stawiał odnóża tylne, stąd też jako dowód swej obecności pozostawił pojedynczy rząd odcisków.

Często na polach dadzą się zauważyć liczne i drobne ślady, biegnące za sobą parami. Zdradzają one jasno niedawną obecność myszy, które wydostały się na świat Boży ze swych podziemnych norek. Często ślady te krzyżują się, to znowu nagle się urywają przy wejściu do ich podziemnych mieszkań.

Niekiedy niestrudzonemu poszukiwaczowi tropów zwierzęcych ukazują się liczne ślady, które na świeżym śniegu zdają się tworzyć delikatny deseń z maleńskich i drobnych jakgdyby gałązek. Są to ślady palców wron. Ułożone w lekki zygzak biegną one jedne za drugim, często na dłuższej przestrzeni. Ślady te świadczą o spokojnej przechadzce wron. Obok tych odcisków często widnieją i inne, tego samego wprawdzie kształtu lecz odmiennie ułożone. Gdy bowiem wrona zacznie podskakiwać, ślady, które pozostawia, układają się parami, jeden za drugim.

Gdzieniegdzie śnieżną drogę przecinają znowu odmienne ślady. Są one małe, widocznie należą do właściciela o niewielkim wzroście. Po dwa obok siebie zaznaczają się wyraźnie, każdy z pięcioma palcami, zakończonymi ostrymi pazurkami. Odległość pomiędzy każdą następną a poprzednią parą śladów wynosi około 30 cm. Z tej właściwości śladów można łatwo wyczytać, że zwierzątko musiało się szybko posuwać naprzód skokami. W istocie ślady owe należą do łasicy. Małe to, lecz ruchliwe bardzo i krwiożercze stworzenie wyszło widocznie na poszukiwanie zdobyczy. A na polach lub w lesie może znaleźć dla siebie odpowiedni kąsek, mysz jakąś lub ptaka a nawet zająca. I nieraz ślady łasicy urywają się nagle a kropelki zaskrzepłej krwi odbijające czerwienią od białego tła śniegu i wydarta sierść lub pióra, świadczą wymownie o dramacie, jaki się musiał rozegrać.

W lesie, oczom niestrudzonego czytelnika, starającego się odczytać tajemnice śladów na śniegu, ukazują się inne, odmienne tropy. Oto widnieją liczne wyraźne odbicia dwóch kopytek. To ślady sarny wolno idącej. Biegną one lekkim zygzakiem, przyczem odległość między nimi jest stale jednakowa. Gdy jednak zaniepokojone zwierzę szuka ratunku w ucieczce, ślady odrazu zmieniają się wyraźnie. Kopytka są bardziej rozstawione i odciskają się również rapetki w postaci jakdgyby dwóch kropek tuż za śladami kopytek.

Jeszcze dalej widoczne są ślady pięciu palców wraz z pazurkami. Widocznie przechodził tędy jakiś drapieżca. W rzeczywistości ślady te należą do kuny. Pierwsze dwa ślady ustawione obok siebie tworzą parę, dwa następne jeden za drugim biegną w prostej linji. Prawdopodobnie wybrała się kuna na poszukiwanie jakiegoś smacznego pożywienia, którego i w zimie jej w lesie nie zbraknie. Trudno tylko zdobycz złowić, gdy jest nią rączy i płochliwy zając lub doskonała gimnastyczka-wiewiórka. Ślady tej małej i wdzięcznej „leśnej tancerki" dadzą się często zaobserwować. W słoneczny bowiem i niezbyt mroźny dzień zimowy, wiewiórka przerywa swą drzemkę i wychodzi z dziupli, aby trochę rozruszać swe mięśnie i spróbować skoków. Schodzi także i na ziemię, pozostawiając po sobie ślady wyraźnych pięciu palców przednich odnóży i czterech tylnych. Wiewiórka porusza się zręcznie i szybko i w razie niebezpieczeństwa ucieka wysoko na drzewo. Często ledwo ujdzie z życiem przed ścigającą ją również zwinną i szybką kuną.

Gdy w okolicy jest rzeka lub staw, zwłaszcza obfitujące w ryby, można na śniegu zauważyć ślady nieco odmienne od wszystkich dotychczasowych. Zaznaczają się wyraźnie rozstawione palce i szczepione błoną. Ślady świadczą o dobrym pływaku. Nietruduno też odgadnąć, że właścicielem tych śladów jest wydra, która przebywa nad rzekami i jest wielką amatorką ryb. Ślady biegną albo para za parą w pewnej odległości, gdy wydra umyka lub też parami tworzą zygzak, gdy wydra zupełnie spokojnie wybiera się na połów. Ślady prowadzą do wody lub też z wody na brzeg. I tutaj przy śladach powracającej wydry z wody, nierzadko dadzą się zauważyć łuski lub szczątki ryby, czy nawet kropelki krwi, które świadczą o uczcie tego czworonożnego rybaka.

I gdy tylko uzbroić się w cierpliwość dla odcyfrowania tej olbrzymiej księgi, która się otwiera przed nami, można dużo jeszcze więcej szczegółów wyczytać. Ślady na śniegu opowiadają wiele o beztroskiem życiu zwierząt, a jeszcze więcej o ich tragedjach.

Zmieniają się szybko karty zimowej księgi, czas zamyka jedne, a otwiera inne stronnice. Misterne płatki śniegu zacierają dawne ślady i znowu zwierzęta pokrywają nowymi śladami niezapisane jeszcze karty tej księgi.

Z. M.

Dokończenie ze str. 10-tej.

— Absolutnie nic — odpowiedziała Lucile.

— Tak... I to jest tem ciekawsze, że ta podróż była długo przygotowywana. Oto w jaki sposób dowiedzieliśmy się o tem. Między papierami, znalezionymi w szczątkach samolotu, dwa były napisane po rosyjsku. Kazałem je przetłumaczyć... Jeden z nich, to kontrakt na sześć lat, angażujący męża pani na stanowisko pilota dla prób do wielkiej fabryki sowieckich samolotów. Ten kontrakt jest datowany przed trzema miesiącami. Drugi papier zawiera rozkaz komisarjatu GPU, datowany w Moskwie czternaście tygodni temu, nakazujący wszystkim władzom rosyjskim, by pozwoliły lądować na terenie ZSSR inżynierowi francuskiemu Peyrignac i jego towarzyszce Wierze Bezukow, aby im udzieliły pomocy i aby ich skierowały możliwie jak najprędzej do fabryki wskazanej w kontrakcie".

— Kontrakt i list żelazny władz sowieckich — powtórzył pan Moreau-Verenil z widocznem niedowierzaniem... — Ależ to niemożliwe... jeśli moja żona należała do organizacji rosyjskiej, a przypuszczam, że należała, to była to organizacja Rosjan białych.

— Pan tak myśli — powiedział minister, lecz fakty mówią co innego. I zresztą, gdyby się był nie zdarzył ten wypadek, zbiegowie znajdowaliby się już w Rosji. Czy mogli byli mieć nadzieję przychylnego tam przyjęcia, gdyby władze sowieckie nie wyraziły wcześniej swej zgody?

Rozmowa trwała długo. Minister uważał, że pan Peyrignac i pani Moreau-Verneuil byli kochankami, którzy chcieli uciec razem bez śladu, że ucieczka samolotem była jedyną drogą, jaka pozwalała pani Moreau-Verneuil przekroczyć granice bez paszportu, że Rosja sowiecka to jedyny kraj na świecie, gdzie zbiegowie z poparciem władz, mogli wypłynąć pod nowemi nazwiskami, że pani Moreau-Verneuil dzięki swej znajomości języka rosyjskiego, a może i stosunkom nieznanym jej mężowi, weszła w porozumienie z ambasadą sowiecką, że wielka kompetencja lotnika pozwoliła na to i że w sumie, gdyby nie fatalny wypadek, ten sprytny plan musiałby się udać. Kończąc dorzucił, że jeśli sobie oboje tego życzą, zażąda, by departament zachował te wypadki w tajemnicy.

— Rola sądownictwa — zakończył sentencjonalnie — nie polega na rozdmuchiwaniu niepotrzebnych skandali, lecz tuszowaniu dramatów nieuniknionych.

Pan Moreau-Verneuil potrząsnął głową. Nie mógł uwierzyć, by to wszystko było prawdą. Doszukiwał się raczej jakiejś tajemnicy, która już nigdy nie zostanie wyjaśniona. Równocześnie jednak przyszedł do przekonania, że zachowanie sekretu jest właściwsze. Potem umówiono się, iż poselstwo postara się o wagon dla przewiezienia zwłok do Francji i że wyjazd, jeśli to możliwe, nastąpi za dwa dni. Aż do tej chwili minister stoi do ich dyspozycji. Było to grzeczne pożegnanie.

Powrót z Pragi pozostawił pani de Peyrignac i panu Moreau-Verneuil na całe życie wspomnienie, podobne do wyrzutu sumienia.

— Co pani teraz uczyni?

— Cóż mogę zrobić? Spróbuję wydzierżawić olbrzymi i walący się zamek w Peyrignac, bo byłoby zbyt strasznie mieszkać tam samej i wrócę do Paryża, ażeby tam wychowywać moje dzieci.

— Tak! pani w swem nieszczęściu ma pociechę: dzieci! Wiera nie chciała ich mieć. Ale życie w Paryżu będzie dla pani znacznie trudniejsze niż w Peyrignac, droższe. Czy to pani nie przeraża?

— Nie! będę pracowała. Jeżeli nie znajdę pracy, pojadę do Alzacji, do moich rodziców. Lecz wierzę, że zdołam dojść samodzielnie do czegoś. Może jako sekretarka? Egzamin dojrzałości składałam z filozofji. Gdy poznałam Gilberta, przygotowywałam prace z angielskiego. Naturalnie wszystko wówczas porzuciłam... W Peyrignac niemożliwem było pracować. Znalazłam się daleko od bibljotek, wykładów... A poza tem miałam dużo trosk. Lecz jeśli będę mogła, z przyjemnością wrócę do mych studjów.

— Gdybym mógł pani kiedyś w tem pomóc...

* * *

Lucile znalazła w starem biurku Gilberta listy Wiery. Szukając papierów, których żądał notarjusz, natrafiła na tę przewiązaną wstążką, paczkę. Było tam około 200 listów, pisanych kształtnem pismem. Początkowo obiecała sobie, że ich nie przeczyta. Później kilka zdań przyciągnęło jej uwagę. Nie mogła się oprzeć potrzebie zaspokojenia ciekawości...

I tak w tej sali, gdzie dowiedziała się o jego śmierci, ujrzała w tych listach Gilberta, jakiego nigdy nie znała. Czemże był dla Wiery ten straszny, ten kapryśny Gilbert? To ona nim rządziła, kierowała, fascynowała go swym czarem. Lucile podczas tej nocy, próbowała porównując daty, notatki, odtworzyć życie, które było jej tak bliskie, a o którem nic nie wiedziała. O świcie, drżąc z zimna poszła się położyć i dalej rozmyślała:

— Byłam żoną człowieka, który wcale nie istniał, który był tworem mojej wyobraźni. Tylko jedna Wiera znała prawdziwego Gilberta.

Chociaż cierpiała, zdawała sobie sprawę że to odkrycie zwalnia ją od przysięgi, od ślubu. Dlaczegóż ma pozostać wierną jakiejś marze, urojeniu? Najpierw miała zamiar pokazać listy panu Moreau-Verneuil. Potem zauważyła, że on tak bardzo pragnie zachować obraz Wiery niewinnej, iż wydało się jej to zbyt okrutne.

Wielki smutek, wspólny im obojgu, zmusił ich do tego, że się znów zobaczyli. Samolot był kupiony na nazwisko pani de Peyrignac i zamówienie podpisane tem nazwiskiem. Trzeba było dowieźć, że pismo to nie jest pismem Lucile i pan Moreau-Verneuil samorzutnie zgodził się stwierdzić, że to jest pismo Wiery. i podzielić dług. Lucile wynajęła małe mieszkanie w Paryżu i spotykała się bardzo często z profesorem Moreau-Verneuli — pozornie pod pretekstem likwidowania pozostałości tej strasznej sprawy, w rzeczywistości zaś dlatego, ponieważ oboje znajdywali w tem przyjemność.

Z początku prawie jedynym tematem rozmowy był Gilbert i Wiera.

Tak przeszła zima. Z wiosną André Moreau-Verneuil zaproponował przechadzki po Paryżu. Czy Lucile kochała swego towarzysza? Niekiedy pytała się o to sama siebie. Nie, to uczucie pogodnego zaufania, przyjacielskiego spokoju, nie było tem uczuciem gorącem i bolesnem, które w niej rozbudził Gilbert. Lecz w jej samotności było to cenne, niezrównane oparcie i wiedziała, że ze swej strony pan Moreau-Verneuil przywiązał się do niej. Mówił jej o swej rozprawie, prosił, by pomogła mu prowadzić pewne badania, zajmował się dziećmi. Tak niedostrzegalne było to przejście, które ich zawiodło do małżeństwa, że w chwili, gdy powzięli tę decyzję, wydała im się prosta i naturalna.

* * *

Minęło dziś dwanaście lat od chwili, gdy się pobrali i ich małżeństwo jest jednem z najbardziej szczęśliwych na świecie. Jest to szczęście, które inni uważaliby za nudne i monotonne, jako polegające tylko na wspólnej pracy, wakacjach na wsi, poważnych i łagodnych rozmowach, lecz ich zadawala ono doskonale. Wspomnieniom dwóch olśniewających istot, które przeszły przez ich życie jak płomieniste meteory, pozostali wierni bez goryczy i teraz już bez żalu. Często jeszcze w czasie letnich miesięcy, gdy spacerowali wspólnie po leśnych ścieżkach, zdarzało im się, że wspominali niezwykłą przygodę Wiery i Gilberta.

ECHA MISTRZOSTW ŚWIATA F. I. S. W ZAKOPANEM







W czasie rozgrywek o tytuł mistrza świata w Zakopanem zorganizowane zostały również stacje odżywcze Ovomaltyny. Stacje te funkcjonując niezwykle sprawnie, cieszyły się też wielkiem powodzeniem. Zdjęcia nasze przedstawiają zawodników w biegu na 50 km. Od lewej widzimy zawodnika jugosłowiańskiego, który na mecie z radością wita kubek ciepłej Ovomaltyny, tak samo zawodnik na drugiem zdjęciu, a zaś szwedzki zawodnik w skupieniu pokrzepia się tą znakomitą oficjalną odżywką FIS'u.

RENDEZ-VOUS ROMANTYCZNE

scena z filmu „Werther": Annie Vernay i Krystjan Kestner — *Fot. Fürst, Paryż*





KOSTJUM TENISOWY

Gdy tylko wiosna ustali nieco swe panowanie, wyjdą miłośnicy kortów tenisowych z rakietami, aby oddawać się temu sportowi na tle młodej zieleni pól i ogrodów. Piękna pani powinna już teraz pomyśleć o cieplejszym kostjumie tenisowym, pozostawiając płótno lub naturalny jedwab, na okres letni. Przyda on się potem nad morzem, gdzie zawsze potrzebne są cieplejsze rzeczy.

Mając trochę wolnego czasu, można sobie zrobić na drutach śliczny kostjum tenisowy, który tu reprodukujemy. Całość składa się z czterech części: bluzy i shortów oraz spódniczki i żakiecika. Wszystkie cztery części wykonuje się tą samą techniką, stosując ten sam wzór (ścieg „ryżowy"), który polega na następującym schemacie: oczko wprost, oczko na wywrót. Drugi rząd odwrotnie: oczko na wywrót, oczko wprost. Wełna powinna być dość cienka, aby można było robić podwójną nitką, co o wiele ładniej wygląda. Druty nr. 4 i pół (tylko bluza wykonana jest drutami nr. 6 i potrójną nitką).

Przed przystąpieniem do roboty, trzeba wypróbować ścieg, aby potem ściśle odrobić nasz wzór. (Dwadzieścia oczek powinno dać 13—14 cm.). Następnie trzeba do swej figury wyrysować odpowiedni krój, którego schemat podany jest obok. Nasz krój jest średniej miary (w pasie 68 cm).

Przy robocie tego kostjumu trzeba cały czas posługiwać się centimertm oraz bacznie śledzić schemat kroju, stosując się do objaśnień, według podanych tam liter. — Wszędzie, gdzie są na linjach litery a/b trzeba ujmować po jednem oczku co półtora centimetra. Litery b/c oznaczają ujmowanie po jednem oczku co 3 cm. Litera d oznacza ujmowanie 11 oczek w pięciu rzędach (5, 3, 1, 1, 1).

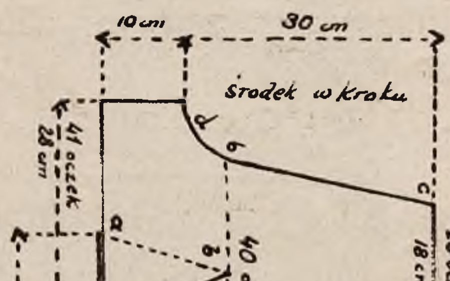
Podajemy opis wykonania shortów: składają się one z czterech jednakowych części (jak schemat). Zaczynamy robotę od dołu. Nabieramy na druty 41 oczek. Wykonujemy podług wzoru 15 cm. na wysokość. Następnie na innej parze drutów nabieramy 40 oczek i znów według wzoru wykonujemy 15 cm Teraz łączymy obie części i robimy dalej na wspólnym drucie. Powinno być 40 oczek, które co 3 cm ujmujemy po obu stronach, aż pozostanie nam 26 oczek (18 cm). Zakończamy wtedy ostatni rząd i tak samo przygotowujemy jeszcze 3 części.

Wszystkie 4 części odprasowuje się przez wilgotną szmatkę, przypinając dokładnie do wyciętej formy, aby potem nie zmieniły kształtu. Następnie zeszywa się je krytym ściegiem a każdy szew również się rozprasowuje. Dolne rozcięcia zaprasowuje się po zeszyciu w skośne kontrafałdy, które przychodzą również na bocznym szwie shortów. W ten sposób otrzymujemy dołem 6 kontrafałdzików.

Pozostaje jeszcze do zrobienia pasek, na który przygotowujemy 6 oczek, i robimy tak samo jak wszystko do długości 68 cm. Pasek przyszywa się jako wykończenie shortów, pozostawiając z lewej strony część skośnego szwu niezaszytą, aby tu przyszyć błyskawiczny zatrzask.

Sam pasek najlepiej zapiąć na pętelkę, zrobioną szydełkiem i duży guzik drewniany obciągnięty kilkoma nitkami wełny.

Dobrej lekkiej wełny wychodzi na opisane tu shorty 18—20 gr. Mewa.



Shorty zrobione na drutach są niezwykle praktyczne przy uprawianiu gry w tenisa.

Poniżej: Schemat kroju shortów.



Oto jak wygląda cały komplet sportowy, który można zrobić „własnym przemysłem" na drutach.

ŻYCIE

TOWARZYSKIE i ARTYSTYCZNE

GÓRALE CZCZĄ ZASŁUGI SWEGO PROTEKTORA



W ub. tygodniu najstarsza organizacja na Podhalu, Związek Górali w Zakopanem uczcił wielkie zasługi swego protektora, naczelnego redaktora „I. K. C." Marjana Dąbrowskiego, nadając mu godność członka honorowego Związku. Na zdjęciu obok: Dziatwa góralska wita redaktora Dąbrowskiego okolicznościowym wierszem w świetlicy Związku Górali.

Fot. Schabenbeck, Zakopane.

WIECZÓR STYLOWY W SIMIE

W Poście, gdy umilkły echa roztańczonego karnawału, dochodzą do głosu imprezy widowiskowe, dające możność kulturalnej rozrywki zarówno wykonawcom ze sfer towarzyskich, jak i publiczności, chętnie uczestniczącej w takich zaimprowizowanych przedstawieniach. Zdjęcie obok jest wykrojem z „Wieczoru stylowego" w warszawskim SIM-ie, na którym wystąpiły: Pp. E. Zielińska, akompanująca na cytrze recytacjom p. K. Dienstl-Kaczyńskiej.

Fot. „As".



ZASZCZYTNE ODZNACZENIE

Poniżej: Jednym z najwybitniejszych przedstawicieli naszej fotografiki jest dr Antoni Wieczorek, który niejednokrotnie zdobywał na wystawach fotograficznych nagrody za swe prace, a ostatnio w dowód uznania dla swej sztuki został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.



Z TEATRU ŁÓDZKIEGO

Poniżej: W sztuce W. Fodora „Tajemnica lekarska", granej ostatnio przez Teatr Miejski w Łodzi, odnieśli zasłużony sukces wykonawcy ról głównych: PP. Janina Biesiadecka i Wacław Modrzeński (na zdjęciu). Sztukę przygotował reżysersko niezwykle starannie p. Zygmunt Biesiadecki.



ECHA KARNAWAŁU



Jedną z najbardziej udanych zabaw przy końcu karnawału krakowskiego była Reduta Artystów Teatru im. Słowackiego w salonach Grand Hotelu. Sympatyczni gospodarze przygotowali szereg niespodzianek dla swoich gości, a wśród nich i konkurs tańców, cieszący się specjalnym powodzeniem. — Na zdjęciu obok: Mistrzowska para w „Lambeth-walk'u" p. Marja Arczyńska, art. teatru im. Słowackiego (na lewo) i p. St. Patroński (w środku) w towarzystwie p. mec. St. Rychlewskiej, p. dr. I. Kleszczyńskiego, red. „I. K. C." (na prawo) i p. K. Kleszczyńskiego.

Fot. Helios.



na pokolenie. Piękność ich polegała na ręcznych, wartościowych haftach i koronkach, „pańskość" na pierwszorzędnym gatunku materjału i solidnem wykonaniu.

Dziś nikt się taką wyprawą nie obarcza. Moda w dziedzinie bieliźniarstwa zmienia się jak w kalejdoskopie, unikamy ambarasujących kufrów i pakownych, licznych szaf, chcemy wciąż mieć coś nowego, czego jeszcze nikt nie widział! Paryskie firmy wysilają się na wciąż inne kreacje, trzeba przyznać, że dochodzą w tem do prawdziwej maestrji.

Najwdzięczniejsze pole do popisu daje nocna koszula. W tej dziedzinie bieliźniarstwo dzisiejsze zbliża się do doskonałości. Strojne nocne koszulki, to istne poematy z jedwabiu, koronek lub haftu, nie ustępujące balowym tualetom pod względem wystudjowanej linji, precyzyjnego i wyrafinowanego kroju. Patrząc na te powiewne ar-



Powyżej: A tu znowu motywem zdobniczym są koronkowe aplikacje. Fot. Anders, Paryż.

Nalewo: Ozdobą tej nocnej koszulki jest wyszukany materjał, z którego jest zrobiona i krój, uwydatniający linję figury. Fot. Anders — Paryż.



Coraz bardziej wyszukana *jest bielizna pięknej pani...*

Wśród kobiet nowoczesnych utarło się przekonanie, że dopiero czasy powojenne dokonały rewolucji w dziedzinie kobiecej bielizny, czyniąc ją prawdziwie elegancką, wyrafinowaną i strojną. Przywykłyśmy z pobłażliwem politowaniem patrzeć na „dessous" naszych babek i prababek, uważając je za zbyt „cnotliwe", prymitywne i pozbawione kokieterji.

Jest w tem dużo megalomanji. Mam wrażenie, że te nasze babki uśmiechnęłyby się z politowaniem, patrząc na kilka czy kilkanaście kolorowych szmatek, które stanowią dziś bieliznę pięknej pani, one — których wyprawne kufry zawierały niezliczone tuziny solidnych, „przedwojennych" webowych i batystowych koszulek, kaftaników, halek i majteczek, nad których przyozdobieniem pracowały po kilka miesięcy całe hufce hafciarek, koronkarek i szwaczek. To była bielizna-kapitał, wystarczająca niemalże na całe życie, często dziedziczona z pokolenia



Na prawo: Tę efektowną w kroju kombinację każemy uszyć z wzorzystego jedwabiu.



Na lewo: Linję figury korygujemy z pomocą pasa gumowego...

Poniżej: Strojny komplet poranny, złożony z empirowej nocnej koszuli oraz penjuaru z ręcznie haftowanej żorżety.



Poniżej na prawo: Ranny szlafroczek z pikowanego jedwabiu — pantofelki zdobią strusie pióra.

Fot. Schostal — Wiedeń.



cydziełka smaku i finezji, nie możemy oprzeć się trzeźwej myśli: „czy nie szkoda w tem kłaść się do łóżka! Jak wyglądają te plisowania, te riusze i falbanki po przespanej nocy?“ — Oto jest pytanie! Gdy zadano je mistrzyni paryskiego bieliźniarstwa Helenie Yrande, odpowiedziała: „Ja kreuję te wszystkie cuda, ale nie pytam, gdzie i kiedy klientki moje je noszą“; to już ich rzecz. Wiem tylko jedno, że ja sama nigdy takich koszul do spania nie używam. Pewnego razu zaryzykowałam w tym kierunku pytanie wobec jednej z mych najlepszych klientek. Odpowiedziała mi szczerze, że oprócz moich modeli, posiada całą kolekcję praktycznych, skromnych koszulek o bardzo prostym kroju. W nich sypia, rano zaś, po przebudzeniu się, przebiera się natychmiast w jedną z moich kreacyj, używając je na poranne godziny śniadania, czytania w łóżku i leniuchowania“.

Różnie sobie z tem radzą piękne panie, ale pokusa posiadania tych subtelnych, delikatnych kreacyj jest zbyt silna, aby się jej oprzeć. Machamy więc ręką na względy praktyczności.

W tej chwili najmodniejsze są koszule o kroju „princesse“, wysmuklające sylwetkę, a podkreślające biust zapomocą drapowań, przymarszczeń lub falbanek. Hafty wyszły nieco z mody, więcej używa się zestawień dwóch jedwabi: matowych i błyszczących, aplikacyj z crêpe satin na „voile triple“ lub „lavable'u“, dekoracyjnych monogramów, wąziutkich plisek odmiennej barwy, ewentualnie inkrustacji z pięknych szarych lub kremowych, a nawet czarnych koronek. Komplet z koszulą nocną tworzy poranny peniuar, szeroki, luźny, czasem otwarty z przodu, czasem wiązany na szarfy. Czepeczki nocne natomiast są już dziś zupełnie niemodne, zastępuje je fantastycznie związana wstążka, lub chusteczka, związana nad czołem „à la créole“.

Kombinacje wykazują dziś ogromną różnorodność: od krótkich koszulek, noszonych z takiemi samemi majteczkami o spódniczkowym kroju, poprzez kombinacje-spody, nieco dłuższe, dostosowane krojem do figury, noszone pod suknią jako „dessous“, aż do długich, taftowych spodów z tafty lub haftowanego batystu, wykończonych riuszami i falbankami, używanych pod szerokie wieczorowe tualety.

Ważnym elementem damskiej „lingerie“ są staniczki i pasy, wysmuklające i modelujące figurę. U nas ten dział bieliźniarstwa stoi na dość prymitywnym jeszcze poziomie, ale w Paryżu odgrywa ogromną rolę. Istnieją „gaine'y“ na wszelkie okazje i dostosowane do wszelkich figur: krótkie, kończące się na wysokości pasa paski z lastexowego tiulu, używane specjalnie do sportów, gdyż w niczem nie krępują ruchów; połączone ze staniczkiem istne futerały, obejmujące całą figurę od biustu aż poniżej bioder — te znów nadają się w szczególności pod obcisłe suknie wieczorowe; wkońcu typy pośrednie, noszone przez cały dzień, a mające tę zaletę, że choć nie przypominają w niczem przedwojennych gorsetów, modelują doskonale sylwetkę, i suknie leżą na nich o wiele ładniej. Jeśli chodzi o staniczki, powinno się uważać, aby nigdy nie były ciasne, nie uciskały biustu, gdyż wtedy go deformują i psują jego linję.

Lady Like.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

FLACZKI NA MUSZELKACH JAKO PRZYSTAWKA. Ugotowane z jarzynkami zupełnie miękkie flaczki, wyjmuje się z rosołu i kraje bardzo drobno, na łyżce masła smaży się drobno usiekaną cebulkę, miesza z łyżką mąki, smaży, uważając, aby się zasmażka nie zrumieniła i zalewa kilku łyżkami zimnego mleka. Po zagotowaniu i zupełnem zagęszczeniu zasmażki miesza się z nią pokrajane flaczki i dodaje w miarę soli i białego pieprzu. Muszelki natarte masłem napełnia się flaczkami, posypuje suto parmezanem, polewa rozpalonem masłem i zapieka w gorącym piecyku przez kilka minut. Podaje się posypane zieloną pietruszką, osobno grzanki z bułki lub chleba.

ZIEMNIACZKI Z JAJAMI ZAPIEKANE. 4 jaja ugotowane na twardo, ostudza się w zimnej wodzie, obiera i kraje w talarki. Kilogram ziemniaków gotuje się w słonej wodzie w zwykły sposób i kraje również w talarki. Na sporej łyżce masła zasmaża się cebulkę na złoty kolor, wkłada ziemniaki i smaży je przez chwilę. Trzy sardelki oczyszcza się z ości i rozciera widelcem, następnie miesza je z 1/4 litrem gęstej śmietanyi z dwoma jajami; tą mieszaniną polewa się smażące się ziemniaki a po paru minutach odstawia z ognia. Do rynki natartej masłem i wysypanej bułeczką kładzie się warstwami ziemniaki i jaja, kropi masłem i zapieka przez 20 minut w piecyku. Potrawa narasta w trakcie pieczenia i da się z formy wyjąć jak babeczka. Podaje się jako danie postne z sosem sardelowym lub też jako dodatek do ryby lub pieczystego.

ŁOSOŚ SŁODKOWODNY LUB MORSKI PIECZONY. Oczyszczoną rybę naciera się sokiem cytrynowym, posypuje solą i odstawia na parę godzin. Tuż przed przyrządzeniem kraje się rybę w grube na palec dzwonka, wyjmuje ostrożnie wszystkie ości, polewa każdy kawałek oliwą i smaży z obu stron na rozpalonej patelni lub na ruszcie, ustawionym na brytwance. Osmażone kawałki składa się do rynki, polewa masłem i wstawia do piecyka na kwadrans, aby się dopiekły. Dzwonka ułożone na półmisku tak, aby się jedno opierało o drugie, przybiera się gałązkami pietruszki. Fritki, krokietki, lub zwyczajne z masłem ziemniaczki kładzie się po bokach ryby.

SZNYCELKI CIELĘCE W BESZAMELU. 35 dkg mięsa cielęcego od dyszka, przemiela się dwa razy wraz z małą bułeczką rozmoczoną w mleku. Na łyżce masła zasmaża się łyżkę startej na tarce cebulki, a po przestudzeniu dodaje się żółtko i uciera razem, białko zaś daje się do zmielonego mięsa, z którem się je miesza przez chwilę, potem dopiero dodaje się usmażoną i utartą z żółtkiem cebulkę, łyżeczką razem uciera się wszystko, aż masa będzie pulchna i jednolita. Z mięsa formuje się sznycelki wielkości dłoni, osmaża je na rumiano i wkłada do gęstego beszamelu, sporządzonego z zasmażki zalanej mlekiem. Beszamel należy zaostrzyć łyżeczką soku cytrynowego i solą. Sznycelki w beszamelu wstawia się do większego naczynia z gorącą wodą, przykrywa i trzyma w niezbyt gorącym piecyku przez najmniej pół godziny. Podaje się obłożone ryżem lub makaronem włoskim.

GOTOWANE PIEROŻKI DROŻDŻOWE. 35 dkg mąki, 2 dkg drożdży rozpuszczonych w letniem mleku, małą łyżeczkę soli, 1 całe jaje i 1 żółtko, łyżkę stopionego masła oraz pół filiżanki grysiku, wyrabia się na dość tęgie ciasto, stosując w miarę ilość mleka, czego dokładnie podać nie można. Wyrobione ciasto zostawia się w cieple, aby wyrosło do podwójnej wysokości, poczem wykłada się je na stolnicę, rozciąga z pomocą wałka na palec grubości, kraje w małe kwadraty, napełnia suchą konfiturą i formuje pierożki, które znów muszą róść przez pół godziny. Pierożki rzuca się na wrzącą osoloną wodę i gotuje przykryte po trzy minuty z każdej strony, tj. po trzech minutach należy je odwrócić i gotować dalsze trzy minuty, przyczem silnie narastają. Wyjmuje się je szybko i rozrywa dwoma widelcami, aby z nich wyszła para powodująca opadanie wyrosłego ciasta. Polane masłem i posypane twarożkiem, zmieszanym z cukrem, muszą być szybko podane.

Se-Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU



Jeżeli chcemy czyścić pokrycia mebli lub też podniszczone wełniane ubrania, stosujemy w tym celu mieszaninę, złożoną w trzech równych częściach ze spirytusu, eteru i terpentyny, zwilżając nią płatek i wycierając plamy. Płyn ten ma tę zaletę, że nie działa szkodliwie nawet na materję o delikatnych kolorach.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 10 — **Marzec** — Dni 31
Niedziela **5** Fryderyka	Zupa ragoût z drobiu. Flaczki na muszelkach. Kapłon nadziewany z kompotem. Suflet morelowy. Kolacja: Ozór z sałatką ostrą.
Poniedziałek **6** Koletty p.	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa z sosem szczypiórkowym. Sznycelki cielęce w beszamelu. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Rizotto.
Wtorek **7** Tomasza z Ak.	Zupa z móżdżku. Kotleciki jarskie z grzybowym sosem. Pieczeń sarnia z brusznicami. Strudel z makiem. Kolacja: Płatki z szynką.
Środa **8** Jana Bożego	Zupa panade z bułek. Ziemniaczki z jajami zapiekane. Sztufada cielęca z marchewką. Legomina biszkoptowa z kremem. Kolacja: Płucka cielęce w sosie cytrynowym.
Czwartek **9** Franciszki	Zupa grochowa z grzankami. Salsefia i bulwy smażone w cieście. Polędwica wieprzowa z kapustą. Budyń czekoladowy. Kolacja: Kasza tatarczana z kefirem.
Piątek **10** Cypriana. 40 M.	Barszcz zabielany z ziemniaczkami. Kaszka krakowska na grzybach. Łosoś z rusztu z fritkami. Pierożki drożdżowe gotowane. Kolacja: Ziemniaczki w mundurkach z marynowanym śledziem.
Sobota **11** Konstantego	Zupa węgierska "gulasz". Fasolka na kwaśno. Kotlety cielęce z marchewką. Kompot mieszany. Kolacja: Parówki z musztardą.





HOCKI-KLOCKI

NIESPRAWIEDLIWOŚĆ.



Kogut do swego kolegi: — To jest przecież oburzające, że my spełniamy całą pracę, a kury zbierają ludzkie uznanie! „Esquire".

ZASTANÓW SIĘ I ODPOWIEDZ!

Odpowiedzi na pytania ze str. 12-tej.

1. Aby prowianty przez przechowanie w lodowni ustrzec od zamrożenia.
2. Napewno nie, bo wówczas i księżyc przestanie świecić. Jego światło jest bowiem tylko odbiciem promieni słonecznych.
3. Pierwszym krajem jest Rosja, drugim zaś Francja.
4. Słuchający tego przemówienia przez radjo, choć oddalony jest o 5.000 kilometrów, bo krótkie fale radjowe biegną z szybkością 186 tysięcy mil na sekundę, podczas gdy głosowe fale tylko 333 metrów na sekundę.
5. Bo znoszą lepiej upał — biel szybciej absorbuje promienie i zatrzymuje mniej ciepła, od ciemnych kolorów.
6. Ulubienicy takiej nie było — wszystkie role kobiece grane były przez mężczyzn jeszcze przez wiele lat po śmierci Szekspira.
7. Żadne — w zupełnej ciemności nikt nie może niczego zobaczyć.
8. Haile Selassie — Alfons XIII hiszpański, Wilhelm Hohenzollern — książę Windsoru.

„TEMPORA MUTANTUR"...



Dyrektor bazaru: — Postanowiliśmy, droga miss Benton, przenieść panią z oddziału sukien damskich do oddziału z gorsetami... „Esquire".

ROZRYWKI UMYSŁOWE

OJCIEC I SYN.

Ojciec jest pięć razy starszy od syna, a za 15 lat będzie starszy od niego już tylko dwukrotnie. — Ile ojciec ma lat.

CUKIERKI.

Staś kupił pewną ilość cukierków, płacąc po 5 gr. za 2. Gdyby płacił po 2 gr. za cukierek, otrzymałby wtedy o 3 cukierki więcej.

Ile pieniędzy wydał Staś na cukierki?

TROCHĘ ARYTMETYKI.

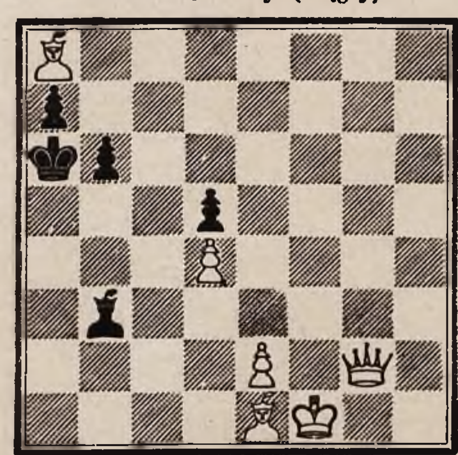
Jedno jabłko waży 4 dkg; gruszka waży tyle, co jabłko i renkloda razem, a pomarańcza waży tyle co gruszka i renkloda. 5 renklod waży tyle co gruszka i jabłko razem. Ile waży każdy z wyżej wymienionych owoców?

W ROKU 1975.

W roku 1975 pewien uczony postanowił oblecieć ziemię wzdłuż równika i przylecieć do miejsca startu o północy jedenastego dnia tego samego miesiąca, to ile razy będzie widział wschód słońca, jeśli założymy, że pogoda była cały czas niezwykle piękna?

ZADANIE SZACHOWE.

Józef Raszowsky (Węgry).



Białe: Król f1, hetman g2, gońce a8 i e1, piony e2 i 44. Czarne: Król a6, goniec b3, piony a7, b6, d5. (6+5=11). Mat w trzech posunięciach.

Rozwiązanie z Nru 9-go.

ZAGADNIENIE BRYDŻOWE.

Licytacja szlemika z ręki wskazuje na pozytywną ilość conajmniej jedenastu lew w tym kolorze. Licytacja dużego szlema przez przeciwnika musiała być wyzwaniem rozdającego do licytacji dużego szlema w tym kolorze wyższym od karów, który był u niego silniejszy w karcie, a więc w piki.

MORDERSTWO W SZPITALU.

Dr Nadzieja jest kobietą.

NIEBEZPIECZNY WIEK.

Barbara ma 47 lat.

W ŚLEDZTWIE.

Sędzia był zezowaty.

TRZEJ PRZYJACIELE.

Rachunek każdego z chłopców wynosił po 26 gr. Kazik miał 16 gr, Janek — 24, a Staszek — 20 gr.

Dokończenie ze str. 6-ej.

Jestto jednoszynowa kolej o wiszących na kołach wagonach. Szyny podparte są słupami żelaznymi. Ostatnio Michelin wprowadził we Francji (a za nią cały świat) motorówki o silnikach spalinowych. Mają one, pomiędzy obręczą a właściwem kołem, opony dla cichej i równej jazdy. — Przed wojną jeszcze pewien inżynier proponował zupełnie coś oryginalnego: wzdłuż kierunku jazdy rozstawione są parami szpule drutu z rdzeniem pionowym. Dalej rozstawione są także duże szpule puste wewnątrz — osiami poziomo. Sam pociąg składa się z wagonów w kształcie cygara z poziomemi bocznemi metalowemi płaszczyznami. Całość pracuje następująco: ustawia się wagony oparte płaszczyznami na pionowych szpulach, puszcza się prąd, wtedy w płytach powstają prądy odpychające, podnoszące wagony do góry. Szpule poziome, działające jak solenoidy, wciągają wagony w siebie. Końcowy efekt jest taki, że pociąg szybuje w powietrzu z wielką szybkością. Technicznie biorąc, rzecz możliwa tylko nieekonomiczna.

Inny projekt to jednotorowa kolej stojąca dzięki umieszczonemu wewnątrz żyroskopowi, poruszana śmigłem. Z boków u dołu wagony miałyby wysuwające się podpórki, na wypadek defektu motoru, lub w czasie postoju. Z ostatnich projektów trzebaby wspomnieć o nowem udoskonaleniu budowy wagonów. Oto wagony mają być zawieszone elastycznie na podporach tak, by poddawały się na skrętach działaniu siły odśrodkowej i trochę wychylały. Wtedy pasażer nie odczuwa zupełnie skrętu ani rzucania i odbywa idealnie spokojną podróż.

Ostatnio czytałem o projekcie ustawienia szyn skośnie i puszczeniu pociągów z szybkością 400 do 700 km na godz.

Nie dość jednak puścić pociąg, trzeba jeszcze o tem zawiadomić publiczność: Jerzy Bradshaw, angielski publicysta i wydawca ur. w Pendleton w 1810 r. (um. 1853) w 1839 r. wydał pierwszy rozkład jazdy pt. „Bradshaws Railway Time-Tables". W następnym roku tytuł brzmiał: „Brashaws Railway Companion" i w tymże 1840 r. zaczął regularnie wydawać co miesiąc „Bradshaws Railway Guide". Zresztą i ta nowość spotkała się ze sprzeciwem, a mianowicie kompanji kolejowych, które były niezadowole, że można będzie od nich teraz wymagać punktualności!

I tak na trudzie i rozczarowaniach całej rzeszy inżynierów powstała nowa gałąź techniki, a dokonała ona więcej dla zjednoczeni ludzkości, niż wszyscy myśliciele świata razem wzięci!

Jerzy Dołęga Lewandowski.

O tak! - to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

KRAKÓW. W prześlicznej oprawie dekoracyjnej dyr. Frycza ujrzeliśmy w Krakowie **„Mizantropa"** Moliera (w przekładzie Boya-Żeleńskiego). Reżyserował rzecz Wł. Woźnik, który sam zagrał rolę Alcesta. Wszyscy wykonawcy zasłużyli na uznanie. Kapitalną kreację stworzyła jako Celimena p. R. Pawłowska.

WARSZAWA. Teatr Narodowy wystawił sztukę amerykańskiego autora Thorntona Wildera pt. **„Nasze miasto"**, która zdaje się nawiązywać do nie tak dawnego okresu, kiedy to scena usiłowała nagwałt nawiązać kontakt z widzem, kiedy np. Jewreinow kazał swemu bohaterowi zwracać się wprost do publiczności. Pirandello „mieszał" sztukę z życiem, fikcję z rzeczywistością. Sztuka Wildera odznacza się...brakiem dekoracyj i rekwizytów. O miejscu akcji dowiadujemy się od reżysera, który, jak się wyraża Boy-Żeleński — „opowiada nam wszystko... a że opowiada przyjemnie, słuchamy cierpliwie". Reżyser bierze czynny udział w widowisku, reżyserując je w naszych oczach. — Rolę tę zagrał A. Zelwerowicz, mając ogromne pole do popisu. Inni wykonawcy: Brydziński, Dominiak, Małynicz, Jakubińska, Roland, Kurylukówna, Chodecki, Chmurkowski, Solarski. — Sztukę opracował reżysersko L. Schiller.

J.

NOWE KSIĄŻKI

John Knittel „El Hakim" wyd. Gustowski-Wojciechowski, Poznań.

Współczesny świat wzbogacił się pod względem politycznym i kulturalnym o tak wiele nowych pozycyj, dzieje się tyle nowych dotąd nie spotykanych rzeczy, że trzebaby przeczytać niezwykłą ilość książek, by choćby jako tako być o tem wszystkiem zorjentowanym. Nie każdemu, rzecz prosta, chce się też czytać dzieła źródłowe i ciężkie: rolę takiego informatora może spełniać beletrystyka pod warunkiem, że autor opisujący dany temat zna go naprawdę dobrze i widział go zbliska. Taką nową pozycją w dzisiejszym świecie jest Egipt. Nie ten Egipt starożytny, znany nam z reprodukcyj Sfinksa, malowideł w grobach Faraonów, Egipt, który dopiero z końcem XVIII wieku, podczas wyprawy jenerała Bonapartego do Egiptu, dzięki wytrwałym poszukiwaniom wielkiego uczonego Champollion'a stał się znany Europie, ale ten nowy Egipt, Egipt Wafdystów, króla Fuada i Faruka, Egipt zrywający coraz bardziej gospodarcze i polityczne pęta angielskie, Egipt dążący do stworzenia i zrekonstruowania własnego bytu politycznego i kulturalnego, opierającego się na tak wspaniałych dawnych dziejach. O tym Egipcie opowiada nam znany angielski autor John Knittel w postaci pamiętnika pewnego lekarza egipskiego. Mały Ibrahim, który stanie się później wielkim lekarzem, już jako mały chłopak marzy o karjerze „hakima" (lekarza). Dopiero jednak wiele ciężkich przeżyć pozwala mu rozpocząć tę wymarzoną karjerę. Wiele scen z życia egipskiego oddanych jest z niezwykłą plastyką: są miejsca, kiedy zdaje się czytelnikowi, iż ma przed sobą fragmenty jednej z czołowych powieści Emila Zoli. Do takich naprzykład opisów należy opis scen rozgrywających się w rzeźni w Kairze, z której mały chłopak, myślący tylko o swej przyszłej lekarskiej karjerze, wydobywa objekty do przeprowadzenia naiwnych jeszcze „badań anatomicznych". Książka opowiada nam o wszelkich możliwych sprawach i zagadnieniach dzisiejszego życia Egiptu: poznajemy reprezentantów wszelkich sfer tego kraju, dowiadujemy się o walce młodego pokolenia Egipcjan o wolną ojczyznę, spotykamy się też z typami angielskich wielkorządców i urzędników, trzymających kraj w swoich kleszczach. Zarówno pod względem opisów, psychologicznych refleksyj, jak też realnych informacyj o kraju i ludziach, książka „El Hakim" zasługuje nietylko na uwagę jako bardzo ciekawa pozycja w naszej beletrystyce, ale też posiada wartość, która, zapewne, przetrwa wiele lat. Tłumaczenie dobre.

JGM.

„Ludzie z gór" Tadeusz Malicki (Gebethner i Wolff).

Tom „opowiadań" Tadeusza Malickiego p. t. „Ludzie z gór", wydany przed kilku dniami przez Gebethnera i Wolffa jest rewelacją krzepkiego, niepodrabianego talentu prozatorskiego. Malicki znany był dotychczas jako subtelny malarz: „Ludzie z gór" ukazują w całej krasie i sile jego indywidualność pisarską.

Autor zdradza w swych opowiadaniach nietylko ogromne zżycie się z tradycjami i legendami tatrzańskiemi, z obyczajami górali, mieszkańców Skalnego Podhala, lecz również umiejętność plastycznego wyrażania uroków tej ziemi i życia swych bohaterów.

Malicki, sięgając do przeszłości Podhala miał za sobą nielada poprzedników: Witkiewicza, Tetmajera, Micińskiego. Nasuwa się tu zwłaszcza zestawienie z przepięknym cyklem tetmajerowskim „Na Skalnem Podhalu". Z tego porównania autor „Ludzi z gór" wychodzi obronną ręką: jest on godnym kontynuatorem tamtych pisarzy.

Co uderza już przy pierwszem zetknięciu się z książką Malickiego to solidność rzemiosła, rzetelność wysiłku artystycznego. Autor posługuje się ze znajomością rzeczy gwarą góralską, ale stosuje ją głównie w dialogach, w częściach opisowych używa języka literackiego, przetykając go od czasu do czasu jakiemś powiedzeniem czy epitetem wziętym z gwary góralskiej.

Tylko z wielkiego umiłowania podniebnego świata gór mogły powstać te wzruszające karty!

A przytem — cóż za styl! Oto fragment opisu krajobrazu: „Szary zmrok spływał na górski świat, a wraz z nim ostry chłód posiał rosę na polanach. Wielkie, granatowe łapy smreków chwiały się w cichym odwieczerzu jak przyjazne cienie, przywołujące noc ku ku sobie".

A oto pełen dynamiki obraz pościgu myśliwych za zwierzem: „Poszli zgięci w pół, ze strzelbami w garści, gotowi do strzału. Szli cicho po upłazie w wysokich trawach, popod kosówki, które urywały się nad lasem. Widno było po rosistej trawie szlak, jaki niedźwiedź wyrzeźbił swem ciałem..." A oto wreszcie pełna ruchu i barwy impresja: „Łuska po stawie chodzi srebrzysta, słoneczna. Południe spoczywa na Tatrach ciężkim żarem. Krowy zaległy w cieniach żując strawę. Na dnie doliny drży powietrze. Siedzą przytuleni do siebie, nad wodą niezgłębioną, zieloną".

J. J.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela 5 marca.

9.15 Transmisja nabożeństwa z Warszawy.
12.03 Poranek symfoniczny.
13.15 Konc. rozrywkowy ze Lwowa.
16.30 Robert Schuman: Davidsbündlertänze op. 6.
17.00 „Jak pracuje teatr w Wilnie" — transm. z życia.
17.30 Podwieczorek przy mikrofonie.
21.20 Muzyka lekka w wyk. Małej Ork. P. R.
21.50 Kukułka Wileńska: „Ballada o sześciu kucharkach".
22.20 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 6 marca.

16.35 Koncert solistów.
17.25 Koncert w wykonaniu orkiestry mandolinistów.
18.30 Muzyka lekka na różnych instrumentach — koncert.
21.00 Koncert kameralny w wyk. Tria Poźniaka.
21.55 „Dzieje symfonji" — audycja.

Wtorek, 7 marca.

15.30 Muzyka obiadowa z Wilna.
16.30 Sonaty skrzypcowe — koncert.
17.15 „Dygasiński we Włoszech"— szkic literacki.
21.00 Koncert symfon. z Wilna.
22.00 „Przechadzki ateńskie" — „O rzeźbach starogreckich".
22.25 Recital wiolonczelowy Sigrid Succo.

Środa, 8 marca.

11.25 Walce Józefa Straussa — płyty.
16.35 Miniatury kwartetowe — koncert z Krakowa.
17.15 Melodje Pokucia — audycja muzyczno-słowna.
21.00 Koncert Szopenowski.
21.30 „P. A. L." — dialog radjowy, „Przy stoliku literackim.
22.00 Amerykański duet wokalny.
22.30 Wolfgang Amadeusz Mozart: Symfonja A-Dur nr. 29.

Czwartek, 9 marca.

11.25 Piosenki w wykonaniu Amelity Galli-Curci i B. Gigli.
15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa.
16.40 Utwory fortepianowe na 4 ręce.
17.30 Grzegorz Gerwazy Gorczycki — audycja muzyczna.
18.30 Muzyka poważna i muzyka lekka — gawęda.
21.00 Utwory Henryka Wieniawskiego — koncert.
21.35 „Określenie dobra moralnego" — szkic literacki.
21.50 Folklor różnych krajów — audycja muzyczna.

Piątek, 10 marca.

11.25 Wiązanki na tematy operetkowe (płyty).
16.35 Koncert solistów.
17.30 Transmisja z Lasek.
18.30 Premjera słuchowiska — „Ojciec".
19.45 Koncert rozrywkowy.
21.00 Chór Polskiego Radja.
21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.

Sobota, 11 marca.

11.25 Lekkie minjatury fortepianowe i skrzypcowe (płyty).
16.35 „Najpiękniejsze kwartety i kwintety klasyków wiedeńskich" — koncert.
17.30 Duety Jana Brahmsa.
21.00 Koncert rozrywkowy. Transmisja z Domu Śpiewaków.
22.00 Koncert rozrywkowy z Londynu.
22.40 Melodje taneczne.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca
Wszelkie materjały redakcyjne należy przesyłać nieimiennie pod adresem redakcji „ASA"
Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1